DUMNE DRZEWA

(The Trees of Pride)

Gilbert Keith Chesterton

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

Rozdział 1

Legenda pawich drzew

Dziedzic Vane był rodzajem podstarzałego uczniaka z angielskim wykształceniem i irlandzkim pochodzeniem. Angielska edukacja, w jednej ze znakomitych szkół publicznych, zachowała jego intelekt w doskonałym i permanentnym stanie na poziomie nastolatka. Ale irlandzkie pochodzenie zaszczepiło w nim podświadomie adekwatną powagę starszego chłopca, a czasami dodawało mu kolorów niegrzecznego chłopca. Cechował się fizyczną niecierpliwością, która ujawniała się niemal wbrew jego woli, i która pozbawiła go szans w służbach cywilnych i dyplomatycznych. Prawdą jest bowiem, że kompromis jest kluczową polisą brytyjskiego gentlemana, zwłaszcza, gdy próbuje on pozostać obojętny na sprawy duchowe. Przywiązany do tradycji arystokrata nie jest w stanie utożsamić się z żadną ze stron w czasie sporu religijnego, a jeśli próbuje, spotyka się z brakiem zrozumienia z obydwu. Krótko mówiąc, Dziedzic Vane był człowiekiem, który szczycił się swoją dorzecznością z takim efektem, że ciągle postępował niedorzecznie. Zdawało się, że stawał na głowie po to tylko, żeby udowodnić jak twardą ma głowę.

Właśnie skończył obfite śniadanie, w towarzystwie swojej córki, przy ogrodowym stole, pod drzewem, na kornwalijskim wybrzeżu. Ponieważ starał się utrzymać doskonałe krążenie krwi, upierał się jadać na świeżym powietrzu tak często, jak tylko możliwe, chociaż wiosna zaledwie dotknęła lasów i morskiego brzegu na tym południowym krańcu Anglii. Córka Barbara, atrakcyjna dziewczyna z gęstymi rudawymi włosami i twarzą poważną jak twarze ogrodowych posągów, wciąż siedziała, prawie nieruchomo, jak posąg, przy stole, gdy jej ojciec wstał. Przystojny, wysoki, w jasnym ubraniu, z białymi włosami i wąsem zakręcającym się z animuszem na twarzy zdradzającej akurat tyle poczucia humoru ile trzeba. Trzymał w ręce swój kapelusz panama z szerokim rondem, gdy ruszył poprzez tarasowy ogród, w dół, po kamienistych stopniach okolonych starymi, zdobionymi urnami i dalej, alejką porośniętą młodymi drzewkami w kierunku zygzakowatej drogi, która prowadziła z tego ogrodu na skalistym Klifie do wybrzeża, gdzie miał przyjąć, przybywającego łodzią, gościa. Jacht był już widoczny w błękitnej zatoczce gdy powoli zbliżał się do małego, brukowanego mola.

Na tym krótkim dystansie, pomiędzy zieloną murawą a żółtym piaskiem, coś jednak sprawiło, że jego twarda głowa weszła w stan powszechnie zwany gorącą głową. Prawdą było, że kornwalijscy chłopi, z których wywodzili się

jego dzierżawcy i ci, którzy mieli zatrudnienie przy domu, pozostawali daleko od jego dorzeczności. Byli przesiąknięci niedorzecznościami w rodzaju duchów, czarownic i zwyczajów tak dawnych jak Merlin, a te niedorzeczności otaczały go magicznym kręgiem nonsensu. Ale ten magiczny krąg posiadał jeden środek: jeden punkt, przedmiot zainteresowania, wokół którego zbiegały się wszystkie wiejskie rozhowory. Był to punkt, który nieodmiennie ranił dziedzica do żywego i nawet na tym krótkim odcinku drogi zdawał się być wszechobecny. Zanim zszedł z trawiastych stopni, zatrzymał się aby wypytać ogrodnika zajętego wykopywaniem pewnych zagranicznych drzewek. Chropowata, brązowa twarz chłopa zdradzała ponurą satysfakcję, że dano mu szansę wyrażenia swojej dezaprobaty do pielonego krzewu.

- My wolimy, żeby się pan tego pozbył, - powiedział nie przerywając pracy. - Nic tu nie urośnie razem z tym chwastem.

- Chwastem! - Wykrzyknął dziedzic śmiejąc się. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że pawie drzewo to chwast. To piękne, wysokie drzewa, z których można być dumnym.

- Chwasty rosną szybko, - zaobserwował ogrodnik. - Chwasty mogą urosnąć wysoko jak dom, jeśli ktoś im pozwoli. - A potem dodał: - Tak jest w Piśmie, panie dziedzicu.

- Och, te wasze... - zaczął dziedzic, ale szybko zmienił bardziej odpowiednie i retoryczne słowo “Pismo” na mniej emocjonalnie nacechowane “zabobony”. Sam był zatwardziałym realistą, ale chodził do kościoła żeby dać swoim chłopom przykład. Ale przykład czego, nie potrafiłby łatwo wyjaśnić.

Trochę dalej, przy alejce pomiędzy drzewami, zauważył drwala, Martina, który był bardziej wymowny, mając poważniejsze powody, do przeklinania afrykańskich drzew. Jego córka była właśnie poważnie chora z gorączką, dosyć częsta przypadłość w ostatnim czasie na wybrzeżu, więc dziedzic, który był współczującym człowiekiem, zdobyłby się na wyrozumiałość wobec desperacji drwala i jego własnej. Jednak tym razem o mało nie stracił nerwów, gdy chłop utrzymywał, zgodnie z powszechnym przekonaniem, że te ulubione przez dziedzica drzewa mają ścisły związek z chorobą jego córki.

- Jakby była zdrowa, zabrałbym ją stąd, - powiedział drwal, - bo jak przypuszczam, nie możemy zabrać tych drzew. A ja chciałbym tylko poczuć jak się łamią pod moją siekierą.

- Mógłby ktoś pomyśleć, że to jakieś potwory, - powiedział Vane.

- A właśnie tak wyglądają, - odparł Martin. - Niech pan się tylko przyjrzy.

Drwal był bardziej nieufnym i z gruba ciosanym człowiekiem niż ogrodnik. Jego twarz była brązowa jak twarz ogrodnika. Przypominała starożytny pergamin. Była otoczona bujną brodą i wąsami, które wyszły z mody pięćdziesiąt lat temu, ale które mogły być w modzie nawet pięć tysięcy lat temu albo więcej. Fenicjanie, handlując na tych wybrzeżach u zarania dziejów, prawdopodobnie czesali swój zarost w podobny sposób. Drwal należał do nielicznej rasy, która była taką częścią Kornwalii, jak Kornwalia częścią Anglii. Tragiczna i rzadko dziś spotykana rasa, powiązana między sobą jak Celtycki klan. Ten klan był starszy niż rodzina Vane’a, chociaż jego rodzina była jedną z najstarszych w hrabstwie. W wielu regionach Anglii, arystokracja jest najmłodszym przybyszem. Ta rasa uważana była za przemijającą, a może już należała do przeszłości.

Niechciane drzewa rosły około stu jardów od mówiącego, który pomachał w ich kierunku siekierą; było coś intrygującego i trafnego w tym porównaniu. Ta część wybrzeża, żeby zacząć od początku, rozciągając się w zachodnim kierunku,

była niemal tak samo fantastyczna jak unosząca się ponad nią ponura chmura. Wybrzeże wyrastało ze szmaragdowo-błękitnego tła morza licznymi wycięciami i zakolami, które przywodziły na myśl gipsowe odlewy jakichś grzebieniastych węży; a poniżej, było poprzecinane i nadgryzione grotami i skalnymi szczelinami, otworami jakby wywiercone przez gigantyczne dżdżownice. Ponad i poza tą drakońską architekturą ziemi, zwieszała się cienka jak para wodna, szara, leśna zasłona. Linia drzew, którą magia falującego morza burzyła i tworzyła na nowo. Po prawej stronie, drzewa rosły wąskim szeregiem, wzdłuż linii brzegowej, a każde z nich jakby zarysowane cienką, niewprawną ręką, jak karykatura. Na drugim końcu tej drzewiastej linii, pojedyncze drzewa zmieniały się w gęste kępy karłowatych roślin, wspinających się aż na przeciwległy cypel wybrzeża. To właśnie na ten fragment automatycznie zwracały się oczy i umysły każdego obserwatora.

Mniej więcej pośrodku tego dolnego i w miarę wyrównanego poziomu drzew, wyrastały trzy pojedyncze pnie, wyrastały wysoko ponad resztę, jak morska latarnia góruje nad falami albo wieża kościoła nad dachami wiejskich chat. Tworzyły one grupę trzech kolumn usytuowanych blisko obok siebie, tak blisko, że mogły zdawać się trzema konarami jednego drzewa, którego najniższa część była ukryta, albo zagubiona, w gęstwinie niskich krzewów rosnących dookoła. Każdy szczegół tych trzech drzew przywoływał na myśl coś nawet bardziej dziwnego i bardziej południowego niż cała reszta tego południowego, najdalej ku Hiszpanii, Afryce i południowym gwiazdom wysuniętego krańca Wielkiej Brytanii. Ich grube jak skóra listowie górowało nad lekką mgiełką żółtawo-zielonego poszycia, które je otaczało, było ono koloru zielonego, ale innego, mniej naturalnego odcienia, mieszanego z błękitem, jak upierzenie zimorodka. Chociaż ktoś bardziej fantastycznie predestynowany, mógłby powiedzieć, że to łuski jakiegoś trójgłowego smoka przelatującego ponad ścieśnionym i spłoszonym stadem bydła.

- Bardzo mi przykro z powodu choroby twojej córki, - powiedział krótko Vane. - Ale, naprawdę... - Ruszył w dół stromej ścieżki właściwym sobie posuwistym krokiem.

Łódź była już przycumowana do niskiego, kamiennego falochronu a przewoźnik, młodszy cień drwala - pozdrowił swego portowego zwierzchnika z powagą odpowiednią dla swojej rasy. Dziedzic odpowiedział na pozdrowienie krótko i w naturalny sposób przeniósł uwagę na gościa, ściskając jego dłonie i pomagając zejść na ląd. Gość był wysokim mężczyzną ze swobodą w ruchach, bardzo szczupły jak na swój młody wiek, a jego ciało sprawiało wrażenie jakby zbudowane było tylko z kości i nerwów, co kontrastowało z włosami, które wychylały się na skroniach spod ronda białego, wczasowego kapelusza jasnożółtymi kosmykami. Był starannie ubrany z wyszukanym gustem, pomimo tego, że właśnie odbył wyczerpującą morską podróż; trzymał w ręku coś, co w czasie swoich długich europejskich podróży, i nawet dłuższych europejskich wizyt, prawie zapomniał nazywać podróżną torbą.

Pan Cyprian Paynter był Amerykaninem, który mieszkał we Włoszech. Można było znacznie więcej o nim powiedzieć, niż to, że był bardzo bystrym i wykształconym gentlemanem, ale te dwie podstawowe zalety przesłaniały skutecznie istnienie większości innych. Napełniając swój umysł cudami Starego Świata, niczym gabloty w muzeum, dodawał im tak jakby światła i nowoczesności przez okno wychodzące na cuda Nowego Świata. Przyjął niektóre poglądy postawy krytycznej Ruskina a może i Patera a później zdobył pewien rozgłos

jako odkrywca nieznanych poetów. Był rozważnym odkrywcą i nie próbował przemieniać swoich drobnych odkryć w wielkich proroków. Jeśli jego brzydkie kaczątka stawały się łabędziami, to nie były to Łabędzie z Avon. Stał się nawet ofiarą niebezpiecznego podejrzenia o bycie klasycystą, tak bardzo różnił się od swoich młodszych kolegów, Poetów Punktuistów, którzy pisali wiersze składające się wyłącznie z przecinków i dwukropków. Wykształcił w sobie dużo sympatii dla nowatorskiego płomienia rozpalonego żarem celtyckiej mitologii i jej ostatnim wcieleniem - kornwalijskimi poetami - którzy posiadali dla niego pewne podobieństwo do irlandzkich poetów. Ci kornwalijscy poeci, a zwłaszcza jeden z nich, stanowili faktyczny powód, dla którego tutaj przybył. Paynter miał jednak zbyt dobre maniery, aby pozwolić swojemu gospodarzowi pomyśleć, że coś innego niż chęć odwiedzenia Dziedzica mogło go tutaj przywieść. Cierpliwie odebrał długie powitanie, jakim Vane go obdarzył. Byli starymi znajomymi. Poznali się na Cyprze w ostatnich dniach niedyplomatycznej dyplomacji Vane'a. Vane nie mógł się domyślić, że przyczyną tego niespodziewanego odnowienia znajomości i wizyty była lektura *Merlina i Innych Poezji*, autorstwa nieznanego kornwalijskiego poety o imieniu John Treherne. Nie domyślił się więc również powodów, dla których, w bardzo tajemniczy ale też dyplomatyczny sposób, ten amerykański krytyk literacki, teraz jego gość, zapragnął zaprosić pewnego miejscowego barda na lunch w dzień przybycia.

Paynter wciąż stał ze swoją podróżną torbą, wpatrując się w transie szczerego podziwu na perforowane wybrzeże zwieńczone szarą, groteskową gęstwiną leśną i trzema fantastycznymi drzewami.

- To jakby rozbitek znalazł się na jakimś baśniowym wybrzeżu, - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie czuje się pan tak zupełnie rozbity, - odpowiedział gospodarz, uśmiechając się. - Jestem pewny, że Jake zatroszczył się o pana bardzo dobrze.

Paynter rzucił wzrok na właściciela łodzi i również uśmiechnął się.

- Mam wrażenie, - powiedział, - że nasz przyjaciel nie jest aż tak bardzo zachwycony krajobrazem, jak ja jestem.

- Och, zapewne przez te drzewa. Czy tak, Jake? - Powiedział dziedzic znudzonym głosem.

Właściciel łodzi był na co dzień rybakiem; ale ponieważ jego pokryta smołowanymi deskami chata stała dokładnie na skraju lądu, kilka jardów od przystani, bywał zatrudniany, gdy potrzebny był przewoźnik. Jake był młodym, korpulentnym człowiekiem, z ciemnymi brwiami i cerą, zazwyczaj milczący, który w tym momencie zdecydował się przemówić.

- Cóż, proszę pana, - powiedział, - każdy wie, że to nie jest naturalne. Każdy wie, że morze bije drzewa i nie pozwala im się rozwinąć, wtedy, kiedy zaczynają rosnąć. A te drzewa wyrastają jak jakiś nieczysty morski chwast z innego świata. To tak, jakby…jakby jakiś wąż morski wypełzł na brzeg, panie dziedzicu, i pożerał wszystko dookoła.

- Niemądra legenda, w którą wierzą miejscowi, - skonstatował dziedzic Vane z niesmakiem. - Ale chodźmy do ogrodu; chciałbym pana przedstawić mojej córce.

Jednak gdy dotarli do małego stołu pod drzewem, z pozoru nieruchoma młoda dama, najwyraźniej oddaliła się i upłynęło trochę czasu zanim trafili na jej ślad.

Barbara powstała od stołu ze swoim powolnym ruchem i przeszła, również powoli, wzdłuż górnej alejki tarasowego ogrodu wiodącej do drugiej alejki,

położonej niżej a przebiegającej równolegle do kęp nadmorskich krzewów. Jej ospałość nie była oznaką słabości, wręcz przeciwnie, raczej ciekawości życia. Minęła krzewy i skierowała się do jednej z grot, do której wiodła wąska, biaława ścieżka. Wzdłuż tego fragmentu tarasu ciągnął się jakby niski szaniec, balustrada, ozdobiona kwiatami tu i ówdzie; wychyliła się poza ten wał i spojrzała w dół na przeświturającą miejscami morską toń i na inną, nieregularną ścieżkę wijącą się w stronę przystani i nadbrzeżnej chaty rybaka.

Gdy tak patrzyła, raczej sennym wzrokiem, dostrzegła nagle jakąś dziwną postać, kogoś, kto z zapałem wspinał się po ścieżce, kierując najwyraźniej w stronę chaty rybaka, albo ogrodu dziedzica. Trwało to krótki moment bo w następnej chwili postać wyłoniła się spośród gęstwiny i zatrzymała tuż poniżej miejsca, gdzie stała Barbara. Nie tylko sylwetka była dla niej obca, ale cała osoba. Był to młody człowiek, zdający się nawet młodszy niż jego własne odzienie, które było nie tylko wygniecione i niedbałe, ale najwyraźniej też nie z tej epoki; zwykły materiał, ale noszony w niecodzienny sposób. Miał na sobie lekką, nieprzemakalną pelerynę, możliwe, że pracował na morzu, ale peleryna ta utrzymywała się przy szyi tylko na jednym guziku i zwieszała się na mężczyźnie bardziej jak narzuta niż płaszcz. W kościstej dłoni trzymał czarny kij; w cieniu szerokiego kapelusza zawijały się czarne włosy splecione w jeden albo dwa pęki. Twarz, mocno opalona i raczej przystojna, naznaczona była lekko zakłopotanym i mocno drwiącym uśmiechem.

Czy człowiek ten był trampem czy tylko przechodniem, czy też może przyjacielem któregoś z rybaków albo drwali, Barbara Vane nie była w stanie odgadnąć. Zdjął swój kapelusz z niezmienionym a nawet nieco złowieszczym uśmiechem i powiedział spokojnie:

- Pan dziedzic prosił mnie abym przyszedł. - W tym momencie zauważył Martina, drwala, który cały czas zajęty był rąbaniem drzewa i pozdrowił go machnięciem ręki.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Przyszedłeś ścinać drzewa? - Zapytała.

- Dlaczego nie? Zarabiam na życie w uczciwy sposób, - odpowiedział uśmiechając się nieznajomy. - Martin, jak mniemam, jest moim dalekim krewnym; jesteśmy Kornwalijczykami, a tu prawie wszyscy są spokrewnieni, jak pani wie. Ale ja nie ścinam drzew. Niczego nie ścinam, chyba że w żartach. Jestem trubadurem.

- Kim? - Barbara była zaskoczona ale i zainteresowana.

- Niech będzie minstrelem, - odparł przybysz i przyjrzał się jej uważniej. W ciągu tej raczej dziwnej ciszy, ich oczy badały się nawzajem. Co widziała ona, zostało już przedstawione, chociaż pozostawało dla niej zupełnie niezrozumiałe. To, co widział on, to ujmująco piękna młoda kobieta ze stateczną twarzą i włosami, które lśniły w słońcu jak miedź.

- Niech sobie pani wyobrazi, - ciągnął, - że w tym dawnym miejscu, setki lat temu, mógł stać inny trubadur a inna dama mogła spoglądać z pani miejsca i rzucać mu monety.

- Czy potrzebujesz pieniędzy? - Zapytała zdezorientowana.

- Cóż, - odparł lekko zakłopotany, - w pewnym sensie, jak każdy, być może, ale obawiam się, że dla minstrelów nie ma już tutaj miejsca, chyba że ciemnoskórych. Proszę mi wybaczyć, że nie pomalowałem sobie twarzy.

Roześmiała się z żartu i powiedziała:

- Twoja twarz jest wystarczająco ciemna.

- Ma pani na myśli to, że ludzie w tej okolicy mają dość śniadą cerę. - Zauważył ze spokojem. - Jesteśmy tu aborygenami i tak też nas traktują.

Chcąc zmienić temat napomknęła o pogodzie i scenerii, zastanawiając się do czego ta rozmowa może ją doprowadzić.

- Widok jest rzeczywiście piękny, - zgodził się z nią, cały czas utrzymując swój enigmatyczny ton głosu. - Jest tylko jedna rzecz, która go psuje.

Podczas gdy ona stała w milczeniu, on powoli uniósł swój czarny kij niczym długi palec wskazujący i obrócił go w stronę trzech pawich drzew, górujących ponad krzewami, w oddali. Dziewczyna odebrała niepokojące wrażenie, że tym gestem niemal dokonuje aktu zniszczenia i może sprowadzić zagładę na cały ogród.

Nabrzmiewającą i niemal bolesną ciszę przerwał niespodziewany głos dziedzica Vane'a, głośny, choć dobiegający z oddali.

- Nie mieliśmy pojęcia, dokąd poszłaś, Barbara, - powiedział i obrócił się w stronę Amerykanina. - Poznaj mojego przyjaciela, to pan Cyprian Paynter. - W następnej chwili dostrzegł nieznajomego i zmilkł lekko zaskoczony. Cyprian Paynter znalazł się dużo lepiej w tej sytuacji. A to dzięki temu, że parę miesięcy wcześniej widział w pewnym amerykańskim czasopiśmie literackim portret nowego kornwalijskiego poety i, ku własnemu zaskoczeniu, znalazł się w pozycji tego, który przedstawia a nie przedstawianego.

- Panie Dziedzicu, - powiedział z mocno wyczuwalnym zdziwieniem, - czy nie zna pan pana Treherne? Jestem pewny, że zna pan swoich sąsiadów.

- Bardzo mi miło pana spotkać, panie Treherne, - powiedział Dziedzic, odzyskując pewność choć nie bez trudności. - Cieszę się, że mógł pan przyjść. A to jest, panie Paynter, moja córka, - i obróciwszy się z nerwowym ożywieniem, powiódł całą grupę w stronę stołu pod drzewem. Cyprian Paynter ruszył za nim, rozwiązując w myślach łamigłówkę, która zupełnie go zaskoczyła. Amerykanin, nawet jeśli zaliczał się do intelektualnej arystokracji, zawsze pozostawał demokratą, społecznie i podświadomie. Nigdy więc nie przyszłoby mu do głowy, że to poeta mógł poczytywać za szczęście, że znał dziedzica, a nie dziedzic poetę. Szczere oddanie do tradycji, które ujawniało się w gościnności Vane'a i jego klasowe uprzedzenia, przypominało Paynterowi, że w rzeczy samej, jest w Anglii tym obcym.

Dziedzic przewidywał pewne trudności ze spotkania przy posiłku z tym niecodziennym i literacko zorientowanym Amerykaninem. Starał się radzić z tą sytuacją taktownie zachowując własny punkt widzenia. Lokalna rzeczywistość mogła sprawić, że gość będzie się czuł jak ryba wyjęta z wody. Dziedzic dokładał starań aby utrzymać atmosferę rodzinnego przyjęcia, ale amerykański krytyk literacki, podobnie jak miejscowy prawnik i lekarz, obecni przy stole, reprezentowali klasę średnią z trudnością dopasowującą się do otoczenia. Vane był wdowcem, więc Barbara przejęła obowiązki gospodyni, choć niewiele miała do roboty. Siedziała na swoim miejscu mając po prawej stronie młodego poetę, co sprawiało, że czuła się lekko podekscytowana. Pamiętała, że pochopnie i niezbyt taktownie zaoferowała trubadurowi pieniężny datek więc teraz była lekko zakłopotana służąc mu przy stole.

- Cała okolica oszalała, - oświadczył Dziedzic jakby mówił o najnowszych lokalnych wiadomościach. - A wszystko przez tę piekielną legendę.

- Jestem zainteresowany legendami, - powiedział Paynter z uśmiechem. - Niech pan nie zapomina, że nie miałem jeszcze okazji poznać waszych, - dodał

rzucając spojrzenie na romantycznie prezentujące się wybrzeże. - A ta okolica zdaje się być idealną sceną dla wszelkiego dramatu.

- Och, jest dramatyczna na swój sposób, - zgodził się Vane nie bez odrobiny satysfakcji. - Wszystko przez te drzewa, tam w oddali, które nazywają się pawie drzewa, przypuszczam, że z powodu tego niespotykanego koloru liści, pan rozumie, ale słyszałem też, że wydają one pewien piskliwy dźwięk w czas silnych wiatrów, który przypomina krzyk pawia; a moim zdaniem przypomina głos bambusowego fletu. Cóż, drzewa te zostały, jak się wydaje, sprowadzone z Barbarii przez mojego przodka, sir Waltera Vane'a, który był jednym z elżbietańskich patriotów, albo piratów, jakkolwiek ich nazwać. Ludzie, którzy zgromadzili się na wybrzeżu, gdy wracał on ze swej ostatniej podróży, mogli zobaczyć łódź odbijającą od burty statku i wiozącą te nowe drzewa, które stały w łodzi jak maszt z kolorowym listowiem, jak zielony żagiel. A gdy tak obserwowali tę łódź, nagle uświadomili sobie, że płynie ona w jakiś dziwny sposób, jakby nikt nią nie sterował; wreszcie łódź dobiła do brzegu i okazało się, że wszyscy na łodzi są martwi, a sir Walter Vane, z dobytą szablą, opierał się o drzewo, sam sztywny jak pień.

- To bardzo ciekawe, - powiedział Paynter zatopiony w myślach. - Powiedziałem, że zbieram legendy i muszę powiedzieć, że jestem w stanie przedstawić wam początek pewnej historii, która miała podobne zakończenie, chociaż mogła wydarzyć się setki mil stąd.

W zamyśleniu stukał o blat stołu swoimi cienkimi wysmukłymi palcami, jak ktoś, kto próbuje przypomnieć sobie jakąś melodię. W rzeczy samej, kolekcjonowanie legend było jego hobby, a opowiadając je wkładał w swoje przedstawienie sporą dozę aktorskiej sztuki, z której był dumny.

- Och, proszę opowiedzieć pańską wersję! - Domagała się Barbara, z której opadły resztki senności wywołanej upałem.

Amerykanin ukłonił się ponad stołem w szarmanckim geście uprzejmości a następnie zaczął zabawiać się egzotycznym sygnetem, który nosił na palcu.

- Jeśli ktoś uda się na wybrzeże Barbarii, - zaczął, - tam gdzie ostatnie skrawki zalesienia giną pomiędzy pustynnym piaskiem a morską wodą, będzie miał okazję spotkać tubylców, którzy wciąż opowiadają niezwykłą historię pewnego średniowiecznego świętego. Tam, na samym progu Czarnego Kontynentu, rzeczywiście panuje atmosfera Ciemnych Wieków. Ja odwiedziłem to miejsce tylko raz, chociaż usytuowane jest naprzeciwko włoskiego miasta, w którym spędziłem wiele lat, trudno byłoby wam uwierzyć jak to niecywilizowane miejsce i wiekowa legenda splata się w coś, co zdaje się zawierać mniej szaleństwa niż w rzeczywistości można tam znaleźć, z tą dżunglą żyjącą w nocnych rykach lwa i ciemnoczerwoną samotnością poza nią. Pewien pustelnik, Św. Securis[1], który żył pomiędzy tymi drzewami, pokochał je jak ludzkich przyjaciół; ponieważ miały w sobie niespotykaną łagodność i nieskalaność, chociaż ich gałęzie raczej przywołują na myśl wielorękich potworów, jak *Briareus*; drzewa nie pożerały nikogo jak lwy, ale raczej otwierały przyjaźnie swe ramiona aby przyjąć drobne ptactwo. Modlił się on, aby pozwolono im, od czasu do czasu, uwolnić się od swoich korzeni i przemieszczać tak jak żywe stworzenia. Drzewa, siłą modlitwy Securisa, jak zaczarowane pieśniami Orfeusza, pewnego dnia ruszyły się. Ludzie pustyni obserwowali wszystko z oddali w przerażeniu, widzieli świętego, który

[1] Fikcyjna postać, nieznane imię wśród katolickich świętych - *Przyp. tł.*

przechadzał się pomiędzy tym chodzącym zagajnikiem, jak nauczyciel pomiędzy swoimi uczniami. Drzewa, w nowych okolicznościach, utraciły swą twardą dyscyplinę. I tylko odgłos dzwonka eremity, przywracał je do ich zwykłego, roślinnego stanu. Pozwalał on im tylko chodzić, zabronił niszczyć albo pożerać inne stworzenia. Zdarzyło się pewnego dnia, że jedno z drzew usłyszało głos, który nie był głosem świętego; w pewien mieniący się zielenią letni wieczór, jedno z drzew spostrzegło, że coś kryje się między jego gałęziami i wydaje dźwięk, naśladując dużego ptaka albo raczej węża. Głos kusił do złego. A gdy stał się bardziej donośny, gdy wyrósł ponad szmer liści, drzewo poczuło nieodpartą chęć pochwycenia młodych pawi które nieświadome niczego krzątały się beztrosko wokół swoich gniazd. Drzewo uległo pokusie. Porozrywało barwne ptaki na kawałki. Ostatecznie kusiciel wypełnił całą koronę drzewa gwieździstym, niby pawim, pióropuszem. Bo dziki duch zawładnął duszą drzewa, które schwytało i pożarło wszystkie niebiesko-zielone ptaki aż nie zostało ani jednego piórka. Potem powróciło do nieruchomego drzewnego stanu. Securis niczego nie podejrzewał. Ale po pewnym czasie, gdy przyszła wiosna i wszystkie drzewa wypuściły swoje naturalne liście, to jedno, zamiast liści, obrosło piórami o różnorodnym wzorze i barwie. Widząc tę potworną asymilację, święty odgadł grzech, ukorzenił to jedno drzewo skazując je na wieczny bezruch. Rzucił też klątwę na każdego, kto odważyłby się je przesadzić i rozpowszechnić. Taki mógł być, panie Dziedzicu, początek historii, która zaczęła się tam, na odległym pustynnym wybrzeżu, a zakończyła tutaj, w tej zatoce, niemal w tym ogrodzie.

- A koniec wydaje się być tak samo wiarygodny, jak początek, - powiedział Vane. - To wyśmienita historia na małe spotkanie przy herbatce, odrobina fantazji w naturalistycznym stylu, to wszystko.

- Ale historia robi przerażające wrażenie, - wykrzyknęła Barbara. - Przypomina mi historie o ludożercach.

- Pochodzi z Afryki, - powiedział prawnik z uśmiechem. - Z kontynentu ludożerców. Myślę, że to domieszka czarnego lądu tworzy tę koszmarną atmosferę kiedy nie wiadomo, czy bohaterem jest drzewo, człowiek czy kusiciel. Coś podobnego możesz doświadczyć czytając “Wuja Remusa”, nieprawdaż?

- Prawda, - powiedział Paynter. - Święta prawda. - Spojrzał na prawnika z większym zainteresowaniem. Prawnik, którego przedstawiono jako Ashe, był człowiekiem bardziej interesującym niż mogłoby się na pozór wydawać. Jeśli Napoleon miałby rude włosy i poświęcał wszystkie swoje siły na rozstrzyganie śmiesznych prowincjonalnych sporów, to prawdopodobnie wyglądałby właśnie tak; okryta miedzianym włosem głowa była ciężka i silnie osadzona; a cała sylwetka, w ciemnym garniturze, była niepozornego wzrostu, jak sylwetka Cesarza. W towarzystwie Dziedzica czuł się bardziej swobodnie niż doktor, który, chociaż gentleman, był nieśmiały i pozostawał wyraźnie w cieniu swojego kolegi.

- Jak słusznie pan zauważył, - ciągnął Paynter, - historia posiada domieszkę raczej prymitywnych elementów, lokalnego kolorytu. Ale pierwotnie, jak przypuszczam, była to hagiograficzna opowieść o jednym z pustelników, chociaż, jak znawcy przedmiotu utrzymują, Św. Securis nigdy nie istniał, będąc zaledwie alegorią uprawy drzew, bo jego imię po łacinie można przetłumaczyć: “Rębacz”.

- Jeśli pan to ujął w ten sposób, - wtrącił poeta Treherne, - to równie dobrze może pan powiedzieć, że Dziedzic Vane nie istnieje, ale jest tylko alegorią kurka na dachu. - Buło odrobinę chłodnej przesady w tej dowcipnej uwadze, co

sprawiło, że rude brwi prawnika ściągnęły się ku sobie. Spojrzał ponad stołem i napotkał dwuznaczny uśmiech poety.

- Czy to znaczy, panie Treherne, - zapytał Ashe, - że skłania się pan ku teorii cudownego aktu św. Securisa? Czy przypadkiem wierzy pan, że drzewa mogą chodzić?

- Dla mnie ludzie są jak chodzące drzewa, - odparł poeta, - jak człowiek z Ewangelii, który odzyskał wzrok. Czy wierzy pan w cudowne ozdrowienia?

Paynter wtrącił się z rozsądnym pytaniem.

- To bardzo ciekawe z psychologicznego punktu widzenia. Ludzie są jak chodzące drzewa?

- Tak jak nie potrafię wytłumaczyć dlaczego ludzie chodzą, tak samo nie rozumiem dlaczego drzewa nie miałyby chodzić, - odparł Treherne.

- Oczywiście, to wynika z natury organizmu, - wtrącił doktor Burton Brown, specjalista w medycynie; - to wynika z budowy roślinnego organizmu.

- Innymi słowy, drzewo tkwi w błocie okrągły rok, - odparł Treherne. - Tak samo jak pan tkwi w swoim gabinecie od dziesiątej do jedenastej każdego dnia. I gdyby jakaś rusałka zajrzała przez pańskie okno, świeżo po swoich zabawach z Plejadami na Księżycu, czy nie mogłaby sobie pomyśleć, że jest pan roślinnym organizmem, a siedzenie bez ruchu wynika z pańskiej natury?

- Nie wierzę w rusałki, - powiedział doktor nieco obruszony, bo takie *argumentum ad hominem* stało się w ostatnich czasach zbyt oklepane. Złośliwy, podświadomy gniew zdawał się promieniować z ponurego oblicza poety.

- Mam nadzieję, że pan nie wierzy, panie doktorze, - zaczął Dziedzic swoim głośnym i przyjaznym głosem, a potem zamilkł, widząc, że coś innego zwróciło uwagę pozostałych. Za plecami doktora pojawił się lokaj, który zaczął mówić przyciszonym głosem doświadczonego służącego. Wykazywał się on tak dużą ogładą, że nikt nie zwrócił uwagi, że należał on do tej samej rasy kornwalijskich Celtów, wierny portret swoich krewnych. Jego twarz była blada, niemal żółta, a włosy czarne z granatowym połyskiem. Znany był pod imieniem Miles'a. Wywoływał u innych, podobnie jak reszta jego pobratymców, trudne do odparcia wrażenie, że ten szczep jest rodzajem jakiegoś tajnego sprzysiężenia.

Doktor uniósł się z przeprosinami.

- Proszę mi wybaczyć, ale jestem wzywany do obowiązku. Proszę mi nie mieć tego za złe, wszyscy wiemy, że takie rzeczy się zdarzają, a pan Treherne może przyzna, że moje obowiązki nie są aż tak bardzo wegetacyjne.

Wymierzywszy ten cios partyjską dzidą, prowokując życzliwy śmiech wśród zebranych, oddalił się pośpiesznie poprzez oblany słońcem trawnik w stronę drogi wiodącej do pobliskiej wioski.

- Jest znany z tego, że pomaga ubogim, - powiedziała Barbara z niewzruszoną powagą.

- Zacny człowiek, - potwierdził Dziedzic. - A gdzie Miles? Czy zapali pan cygaro, panie Treherne? - Powstał od stołu, a inni podążyli jego przykładem i grupa rozeszła się po trawniku.

- Wyjątkowy człowiek ten Treherne, - powiedział Amerykanin do prawnika, starając się wciągnąć go w rozmowę.

- Wyjątkowy, to właściwe słowo, - zgodził się Ashe raczej bez entuzjazmu. - Ale myślę, że niewiele mogę o nim od siebie powiedzieć.

Dziedzic, zbyt niecierpliwy, żeby czekać na powrót Milesa, zniknął we wnętrzu domu aby przynieść cygara, a Barbara, wałęsając się po tarasowym ogrodzie, znowu znalazła się sam na sam z poetą; ale tym razem, raczej symbolicznie, na

tym samym poziomie ogrodu. Treherne, bez swojej niecodziennej peleryny, wyglądał znacznie mniej ekscentrycznie, sprawiał wrażenie spokojnego, bardziej zwyczajnego człowieka.

- Nie chciałam być dla pana niemiła tutaj, - zaczęła nagle.

- I to jest najgorsze, - odparł poeta, - bo strasznie się obawiam, że ja byłem niemiły dla pani. Gdy tam stałem na dole patrząc w górę, gdy zobaczyłem panią, poczułem w sobie napięcie, które prawdopodobnie towarzyszyło wszelkim społecznym rewolucjom w dziejach. Możliwe, że był też w tym podziw! Tak jak możliwe, że ikonoklasta mógł być bałwochwalcą.

Zdawał się posiadać zdolność przeskakiwania na bardzo osobisty ton rozmowy jednym, podobnym do kociego, susem, gdy wspinał się po stromej ścieżce, a to sprawiało, że robił na niej wrażenie człowieka niebezpiecznego a może nawet pozbawionego skrupułów. Zmieniła temat natychmiast, chcąc jednocześnie zaspokoić własną ciekawość.

- Co miał pan na myśli mówiąc o tych chodzących drzewach? - Zapytała. - Proszę mi nie mówić, że wierzy pan w baśniowe drzewa, które pożerają ptaki!

- Myślę, że bardziej zaskakujące, - odpowiedział Treherne poważnym tonem, - byłoby dla pani, gdybym powiedział nie tyle w co ja nie wierzę, ale raczej w co wierzę; na przykład, w elżbietańskie domy i elżbietańskie rodziny, w sposób, w jaki posiadłości są modernizowane, w całą resztę. Niech pani spojrzy na naszego przyjaciela, drwala. - Wskazał palcem w dół, na mężczyznę z dziwaczną brodą, który cały czas zajęty był pracą z siekierą.

- Jego rodowód sięga wielu wieków, to była rodzina znacznie zamożniejsza i niezależna w tak zwanych Ciemnych Wiekach niż jest dziś. Gdyby tylko kornwalijski chłop mógł napisać historię Kornwalii.

- Ale cóż to ma wspólnego, - domagała się, - z pańską wiarą, albo jej brakiem, w drzewa pożerające ptaki?

- Dlaczego miałbym się zwierzać, w co wierzę? - Powiedział z lekko wyczuwalnym tonem buntu w głosie. - Szlachcice przyszli tu i zabrali nasz kraj, naszą pracę, nasze zwyczaje. A teraz, po tej eksploatacji, chcą zrobić coś jeszcze gorszego, chcą zabrać naszą tradycję! Nasze marzenia!

- Ale to marzenie było raczej koszmarne, nieprawdaż? - Zapytała Barbara uśmiechając się; a chwilę później odzyskała poważny ton, mówiąc z pewnym napięciem: - Ale oto doktor jest z powrotem. Wygląda na poruszonego.

Rzeczywiście, doktor, czarna sylwetka na zielonym tle trawnika, zbliżał się do nich dość ożywionym krokiem. Poruszał się jak ktoś znacznie młodszy, a jego twarz zdawała się przedwcześnie podstarzała, jakby z trwogi; jego brwi ściśnięte i odstające od ciemnej grzywki włosów powyżej. Był bardziej blady niż wtedy, kiedy wstał od stołu.

- Przykro mi to oznajmić, pani Vane, - powiedział do Barbary, - ale mam najgorsze wieści dla biednego Martina, drwala. Jego córka zmarła pół godziny temu.

- Och, - wykrzyknęła Barbara ze współczuciem, - tak mi przykro!

- Mnie również, - powiedział doktor i oddalił się raczej niespodziewanie; przebiegł w dół po kamiennych stopniach, pomiędzy kamiennymi urnami, chwilę później widzieli go rozmawiającego z drwalem. Nie widzieli twarzy ojca zmarłej dziewczyny. Stał odwrócony do nich tyłem, ale dostrzegli coś, co poruszyło ich nawet bardziej niż mógł poruszyć wyraz twarzy. Ręka drwala, ta, w której trzymał siekierę, uniosła się i przez moment zdawało się, że zamierzył się

na doktora. Faktycznie, zwrócony był w stronę klifu, gdzie, ponad karłowatym drzewostanem, potężnie w promieniach słońca, górowały dumne drzewa.

Drwal zamachnął się swym silnym opalonym ramieniem i wypuścił siekierę w powietrze. Narzędzie przebyło łukiem pewien dystans, jego ostrze błysnęło jak srebrny półksiężyc na szarym tle drzewostanu. Nie doleciało do swojego wyniosłego celu, ale spadło w krzaki, płosząc stadko małych ptaków. W wyobraźni poety, wypełnionej prymitywnymi ideałami, miało to niemal augurze znaczenie, topór jakiejś pogańskiej ofiary.

Drwal ruszył aby podnieść soje narzędzie pracy, ale doktor powstrzymał go kładąc mu rękę na ramieniu.

- Teraz to nieważne, - usłyszeli jak powiedział do mężczyzny, smutno i łagodnie. - Jestem pewny, że Dziedzic zwolni cię z pracy na parę dni.

Barbara spojrzała na Treherne. Stał wpatrzony w tę scenę, jego głowa lekko pochylona, jeden z jego czarnych loków opadł mu na czoło. W tym momencie odczuła jakąś obecność w gąszczu trawy, jakby ożywienie wśród kryjących się tam rusałek, jednocześnie czując, że te rusałki nie są jej przyjazne.

Rozdział 2

Zakład dziedzica Vane'a

Upłynął ponad miesiąc zanim legenda o pawich drzewach powróciła jako temat w kręgu znajomych Dziedzica. Pewnego wieczoru, gdy jego ekscentryczne upodobanie do spożywania posiłków na świeżym powietrzu zgromadziło grupę gości, przy tym samym stole, tym razem oświetlonym lampą, zastawionym do kolacji o wspaniałym wiosennym zmierzchu. Grupa składała się z tych samych osób, którzy przez minione tygodnie zżyli się ze sobą i utworzyli swego rodzaju klub. Amerykański esteta był oczywiście najbardziej aktywnym członkiem tej grupy, jego determinacja do zgłębienia sekretów kornwalijskiej poezji popychała go do wywierania nieustannych nacisków na gospodarza, aby te zgromadzenia grupy znajomych podtrzymywać przy życiu. Nawet pan Ashe, prawnik, zdawał się przemóc swoje nie do końca poważne uprzedzenia; a doktor, choć raczej stonowany i wyciszony, okazał się towarzyskim i rozważnym człowiekiem. Paynter czytał czasami poezje Treherna na głos, a czytał wyśmienicie, z aktorską sztuką; czytał on również inne rzeczy choć nie na głos, dokopywał się do wszystkiego, co mógł znaleźć w okolicy, od przewodników po epitafia, wszystko, co mogło rzucić najmniejszy promyk światła na lokalne starożytności. To właśnie tego wieczoru, gdy światło lampy mieszało się na blacie stołu, ustawionego pod drzewem, z ostatnimi resztkami dziennego światła i z kolorami wina i srebra, oznajmił zebranym o swoim nowym odkryciu.

- Niech pan powie, panie Dziedzicu, - zaczął od Amerykanizmu, którego rzadko tylko używał w Anglii, - coś o tych waszych przerażających drzewach; nie przypuszczam, że zna pan choćby połowę legend opowiadanych o nich w tej okolicy. Wygląda na to, że posiadają zdolność spożywania różnych rzeczy. Nie żebym miał jakieś obiekcje względem jedzenia, - kontynuował, częstując się z ochotą zielonkawym serem. - Ale mam pewne uprzedzenia, delikatnie mówiąc, jeśli chodzi o jedzenie ludzi.

- Jedzenie ludzi! - Powtórzyła Barbara Vane.

- Wiem, że obieżyświat nie powinien być wybredny, - odparł Paynter. - Ale powtórzę stanowczo, mam poważne uprzedzenia co do ludożerstwa. Wszystko wskazuje na to, że pawie drzewa poczyniły pewne postępy od niewinnych czasów, gdy zadowalały się pożeraniem pawi. Gdy się rozmawia z ludźmi tutaj - z rybakami, którzy żyją na tym wybrzeżu, albo z tym, który kosi trawę w pańskim ogrodzie, tę trawę tuż przed naszymi oczami - opowiadają oni historie dużo bardziej soczyste niż jakakolwiek, jaką mógłbym znaleźć na wybrzeżu

Barbarii. Jeśli zapytacie, co się przytrafiło rybakowi o imieniu Peters, który upił się w dzień Wszystkich Świętych, opowiedzą wam, jak zgubił się w tym małym zagajniku, ułożył się do snu pod wspomnianymi drzewami a następnie rozpłynął się w powietrzu, wyparował, jak poranna mgła w promieniach słońca. Jeśli zapytacie ich gdzie jest Harry Hawke, mały syn wdowy, powiedzą wam, że został połknięty; bo ośmielił się wdrapać na to drzewo i zostać tam całą noc. To zrobił on, a co zrobiły drzewa, Bóg raczy wiedzieć; zwyczaje roślinnych ogrów nie pozostawiają wiele do domysłu. Ale ci, co mówią, dodają jeszcze jeden interesujący szczegół, że za każdym razem, gdy ktoś zniknie w taki sposób, jedna nowa gałąź wyrasta na drzewie.

- A cóż to za nowy nonsens? - Obruszył się Vane. - Wiadomo, że jest sporo szaleństwa w okolicy wokół tych drzew, że niby powodują gorączkę, chociaż każdy wykształcony człowiek wie dobrze, że takie epidemie powtarzają się cyklicznie. Wiadomo, że potrafią odróżnić ich szum od szumu innych drzew w czasie sztormu, i z tym nawet mógłbym się zgodzić. Ale Kornwalia to nie jest zakład psychiatryczny i opowieści o pożeraniu przechodzących turystów...

- No dobrze, ale te opowieści zaskakująco potwierdzają się nawzajem, - wtrącił poeta nieśmiało. - Jeśli jest jakaś magia, która zabiła tych, którzy znaleźli się ww pobliżu, to ta sama magia może wywołać gorączkę u tych, którzy pozostają na dystans. W dawnych romansach, smok, który pożera ludzi, często razi innych trującymi wyziewami albo ogniem.

Ashe spojrzał na mówiącego stanowczym wzrokiem, żeby nie powiedzieć kamiennym.

- Czy dobrze zrozumiałem, - zapytał, - że jest pan w stanie przetrawić też jedzące drzewa?

Ciemny uśmiech Treherne'a był jego zwykłą bronią na uszczypliwe uwagi. Sam potrafił odpłacić uszczypliwością.

- To trawienie to metafora, oczywiście, - powiedział, - o mnie, nie o drzewach. A metafory łatwo przenoszą nas do wyimaginowanych światów, oczywiście. Na przykład ten ogród, o tej porze dnia, sprawia wrażenie wyimaginowanego i może nas zawieść gdziekolwiek.

Żółty róg księżyca pojawił się bezgłośnie, niemal nieoczekiwanie, ponad czarnymi rogami morskich zarośli, zapowiadając, że noc ma wkrótce zastąpić wieczór. Nocna bryza zakręciła się między drzewami, przemknęła ponad karłowatymi krzewami, a gdy zamilkli mogli usłyszeć nie tylko szmer poruszanej wiatrem trawy, ale także odgłos morza, które wypełniało z pluskiem wszelkie szczeliny i jaskinie dookoła nich, poniżej, nad brzegiem, z każdej strony. Wszyscy słyszeli tę nutę, którą wiatr wydobył: Amerykanin jako krytyk a poeta, jako poeta; Dziedzic, którego przepełniała czysto racjonalna wrząca niecierpliwość, nie potrafił tak do końca zrozumieć natury tej niecierpliwości. U niego, może nawet bardziej niż u innych, z czego sam nie zdawał sobie do końca sprawy, morski wiatr zaszumiał w głowie jak szklanka wina.

- Wiarygodność jest zajmującą rzeczą, - ciągnął Treherne przyciszonym głosem. - Jest bardziej negatywna niż pozytywna, a na dodatek jest nieskończona. Setki ludzi unika przechodzenia pod drabiną; nie wiedzą dokąd te trójkątne wrota drabiny mogą ich zawieść. Nie wierzą, że Stwórca mógłby porazić ich gromem za taką rzecz. Ale nie wiedzą, co może się zdarzyć; w tym problem; dlatego mijają drabinę bokiem, jakby unikali jakiejś przepaści. Tak samo tutaj, bez względu na to, czy ludzie wierzą czy nie, po prostu nocą tam nie chodzą.

- Przechodzę pod drabiną kiedy tylko mam okazję, - wykrzyknął Vane z niepotrzebnym podekscytowaniem.

- Pan jest członkiem Klubu Trzynastu, - powiedział poeta. - Przechodzi pan pod drabiną w piątek aby dołączyć do stołu jako trzynasty, gdy wszyscy dookoła rozsypują sól. Ale nawet pan nie pójdzie nocą między te drzewa.

Dziedzic Vane powstał, jego srebrne włosy powiewały na wietrze.

- Pójdę tam i zostanę całą noc w tym waszym zaczarowanym lesie, pod waszymi zaczarowanymi drzewami a nawet na drzewie. - Oświadczył. - Zrobię to za dwa pensy albo za dwa tysiące funtów, jeśli ktoś zechce przyjąć zakład.

Nie czekając na odpowiedź, pochwycił swój biały kapelusz z szerokim rondem, założył go na głowę energicznym ruchem i ruszył posuwistym krokiem zanim ktokolwiek z zebranych przy stole zdążył zareagować.

Ciszę przerwał Miles, butler, upuszczając i tłukąc jeden z talerzy, które właśnie niósł. Stał wpatrzony w swojego pracodawcę wyciągając swoją długą i cienką szyję, wyglądał bardziej pożółkły na twarzy w żółtym świetle lampy. Był ukryty w cieniu, ale Paynter zdołał dostrzec, że jego oblicze ścisnęła konwulsyjna reakcja chwilowego zaskoczenia. Ale gdy obrócił się w stronę gości, jego twarz nie zdradzała już żadnych emocji i Paynter zrozumiał, że zapowiada się noc pełna wrażeń, tak jak krzyż ze *Snu nocy letniej* zapowiedział magiczne wydarzenia w dramacie.

Las, w którym rosły pawie drzewa, las, do którego Dziedzic zmierzał, znajdował się na odległym krańcu cyplu wcinającego się w morze i można było się tam dostać tylko jedną drogą oświetloną jasno srebrnym światłem księżyca. Ścieżka wiodła wzdłuż klifu porośniętego pojedynczym rzędem karłowatych krzewów i kończyła się w miejscu, gdzie znikała w gęstwinie leśnej tworząc jedyną naturalną bramę wejściową do lasu, która ziała ciemną grozą jak paszcza lwa. Co było dalej, nie dało się zobaczyć, ale z pewnością wiodła prosto do miejsca, gdzie znajdowały się ukryte korzenie drzew górujących pośrodku zagajnika. Dziedzic docierał właśnie do tej bramy, zostało mu nie więcej niż yard albo dwa, gdy jego córka uniosła się od stołu i zrobiła dwa kroki w jego stronę, tak jakby chciała wezwać go do powrotu.

Treherne wstał również i stał niby oszołomiony faktem, że nie zareagował wcześniej. Gdy Barbara powstała, otrząsnął się i podszedł do niej mówiąc coś, czego Paynter nie mógł dosłyszeć. Powiedział to jakby od niechcenia, nawet obojętnie, ale musiało to być coś, co podsunęło dziewczynie jakąś myśl; bo, po chwili namysłu, przytaknęła głową i ruszyła ale nie do stołu tylko w kierunku domu. Paynter odprowadzał ją wzrokiem z ciekawością, a gdy spojrzał znowu w kierunku lasu, Dziedzic zniknął już w ciemnej bramie.

- Przepadł, - powiedział Treherne jakby przypieczętowywał ostateczny wyrok, jakby zatrzaskiwał drzwi.

- Cóż znaczy przepadł? - Zapytał prawnik podnosząc głos. - Dziedzic może iść do swojego lasu kiedy zechce, nieprawdaż? O co, do diabła, całe to zamieszanie panie Paynter? Tylko niech mi pan nie mówi, że wierzy pan, że ta plątanina gałęzi może wyrządzić jakąkolwiek krzywdę?

- Nie, nie wierzę, - powiedział Paynter, zakładając nogę na nogę i zapalając cygaro. - Ale nie ruszę się stąd, dopóki Dziedzic nie wróci.

- Bardzo dobrze, - powiedział Ashe krótko, - ja poczekam razem z panem, tylko po to, żeby być świadkiem końca tej farsy.

Doktor nie powiedział nic, ale on również pozostał na swoim miejscu i przyjął cygaro, którym poczęstował go Amerykanin. Gdyby Treherne przysłuchiwał się

tej wymianie zdań, prawdopodobnie nie przeoczyłby faktu, że, o ile wszyscy oni zdecydowali się pozostać w ogrodzie, być może nawet całą noc, o tyle żaden z nich nie zdecydował się podążyć w ślady Dziedzica do nieodległego przecież lasu. Ale Treherne, chociaż wciąż w ogrodzie, oddalił się nieco od ogrodowego stołu i przechadzał się wzdłuż drzew rosnących rzędem na tle ciemnej powierzchni morza. Były miejsca w ich gałęziach, regularne prześwity, w których można było zobaczyć morze jak przez okna ruin jakiegoś nawiedzonego klasztoru i Treherne, narzuciwszy na siebie swoją pelerynę, przechadzał się w tę i z powrotem jak duch niezupełnie poczytalnego mnicha.

Wszyscy oni, czy sceptycy, czy też nie, postrzegali tę noc jako coś nienaturalnego. Siedzieli nieruchomo, albo też nagle zrywali się i okrążali duży ogród tak, że wydawało się, że w żadnym momencie nie pozostawali przy stole w komplecie i stracili orientację, kto siedzi przy stole, a kto nie; ale ich spacery nie wykraczały poza to mroczne i przypominające labirynt miejsce. Chwilami zapadali w niespokojne drzemki, bardzo krótkie, a jednak mieli wrażenie, że całe to posiedzenie jest częścią jednego snu.

Paynter właśnie przebudził się z takiej drzemki i ujrzał Ashe'a siedzącego dokładnie po drugiej stronie pustego stołu; ciemna ocieniona twarz i czerwony żar jego cygara jak oko Cyklopa. Zanim prawnik przemówił, swoim spokojnym głosem, Paynter zaczął odczuwać pewien lęk przed mężczyzną. Potem odpowiadał i kiwał głową, aż zapadł w kolejną drzemkę. Gdy się ocknął, prawnika nie było, zamiast niego Paynter zobaczył łysawe, szare czoło doktora; nagle uświadomił sobie, że było coś złowieszczego w codziennym skądinąd fakcie, że doktor miał na nosie okulary. Ashe nie zniknął zupełnie, pozostawał kilka jardów dalej i w momencie gdy Paynter się przebudził, zawrócił nagle w kierunku stołu. Nie był to sen i Paynter zwrócił się do niego swoim naturalnym choć nieco zbyt donośnym głosem.

- A więc jest pan z powrotem; a gdzie jest Treherne?

- Przypuszczam, że wciąż kręci się gdzieś na skraju klifu, jak biały niedźwiedź, wzdłuż tego szeregu nadbrzeżnych drzew, - odparł Ashe, wykonując gest ręką, w której trzymał cygaro, - gapiąc się na, jak to ujął pewien starszy (mam nadzieję, że wybaczy mi pan jeśli dodam nieco lepszy niż Treherne) poeta, morze koloru czerwonego wina. Rzeczywiście ma ono pewien odcień purpury, niech pan tylko spojrzy.

Paynter spojrzał; dostrzegł morze koloru czerwonego wina i szereg drzew z ich fantastycznymi kształtami, ale nie zauważył poety; w klasztorze nie było żadnego mnicha.

- Musiał pójść gdzieś indziej, - powiedział bez najmniejszych emocji.

- Na pewno zaraz tu wróci. To naprawdę interesujące to nasze całe czuwanie, ale czuwanie traci na czujności, jeśli nie można zapanować nad snem. Ach! Oto i Treherne; więc jesteśmy w komplecie, jak to powiedział pewien polityk, gdy Coleman spóźnił się na kolację. A nie, doktor gdzieś się zapodział. Jak niepoprawni wszyscy tu jesteśmy!

Poeta zbliżył się, kroczył miękko po trawie, a idąc wpatrzony był we własne stopy z wytężoną uwagą.

- Niedługo będzie po wszystkim, - powiedział.

- Że co? - Zapytał zaskoczony Ashe.

- Noc zbliża się ku końcowi, oczywiście, - odparł Treherne nieporuszony. - Najczarniejsza godzina przeminęła.

- Czy nie powiedział tego jakiś inny poeta, - dopytywał się niedorzecznie Paynter, - że najczarniejsza godzina jest tuż przed świtem? Mój Boże, a to co? To było jakby ktoś krzyczał.

- To był krzyk, - odparł poeta. - Krzyk pawia.

Ashe zerwał się na nogi, jego twarz pobladła jeszcze bardziej na tle rudawych włosów.

- Co ma pan na myśli, do czorta?

- Och, mam na myśli zupełnie naturalną rzecz, jak powiedziałby doktor Brown, - odparł Treherne. - Czy Dziedzic nie mówił, że drzewa wydają piskliwy dźwięk, gdy wieje wiatr? Wiatr właśnie zaczął dąć od morza; nie zdziwiłbym się gdyby zapowiadało to sztorm jeszcze przed świtem.

I rzeczywiście, świt zbliżał się z każdym podmuchem wiatru. Wiatr wzmagał się, wzburzając purpurową powierzchnię morza wokół wulkanicznych klifów. Pierwsze oznaki dnia ujawniały się, wydobywając ciemne ale ostro zarysowane kształty drzew i pojedynczych gałęzi; a ponad szarą masą karłowatego drzewostanu, w pierwszych blaskach dnia, mogli dostrzec górujące sylwetki złowieszczej trójki. W ich podłużnych gałęziach Paynter dostrzegał coś wężowatego a nawet spiralnego. Miał wrażenie, że niemal dostrzega ich powolny ruch, jakby taniec, ale było to pewnie tylko złudzenie niewyspanej głowy, bo kilka sekund później zapadł ponownie w drzemkę. We śnie doświadczył serii oderwanych wizji, scen, przepełnionych tym samym szumem morza i morskiej bryzy; a ponad i poza innymi dźwiękami przebijało się złowieszcze zawodzenie Dumnych Drzew.

Przebudził się w świetle pełni dnia, jasna korona porannej słonecznej łuny kładła się na las, ogród, pola i wioski na przestrzeni mil. Nagła świadomość pełni dnia, typowa dla przebudzonego, postawiła go szybko na nogi i ukazała mu całą grupę, stojącą na trawniku w pozie oczekiwania. Nie było powodu pytać na co czekali. Oczywiście spragnieni byli poznania nocnych wrażeń i doświadczeń ich ekscentrycznego gospodarza, komicznych albo zwyczajnych, jakiekolwiek mogły one być, wyniku eksperymentu, którego (z powodu podświadomych lęków, albo poczucia honoru) nie ośmielili się przerwać. Mijała godzina za godziną, ale nie widzieli najmniejszego poruszenia w zagajniku oprócz przelatujących ptaków. Dziedzic, jak większość ludzi jego pokroju, wstawał wcześnie i było niepodobieństwem aby w tych okolicznościach ciągle spał; dużo bardziej prawdopodobne zdawało się, biorąc pod uwagę podekscytowanie z jakim ich opuszczał, że całą noc nie zmrużył oka nawet na chwilę. Ale możliwe było też, że wyczerpany napięciem i emocjami, pozostawał pogrążony we śnie. Gdy słońce było już wysoko na niebie, Ashe, prawnik, obrócił się do reszty i przemówił zdecydowanie, bez ogródek.

- Może powinniśmy tam pójść? - Zadał pytanie patrząc na Paynter'a, ale natychmiast głos mu się załamał.

- Ja pójdę, - powiedział Treherne pierwszy. A potem, zadzierając głowę w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia, dodał: - Nie kłopoczcie się. Ten, kto wierzy nie lęka się.

Podobnie jak wieczorem, obserwowali go przemierzającego ścieżkę prowadzącą na cypel i wkrótce zginął z ich oczu w mrokach gęstego zagajnika, ale nie minęło wiele czasu, gdy zobaczyli go ponownie.

Kilka minut trwało zanim pojawił się znowu na ścieżce i wkrótce zbliżał się wolnym krokiem, po trawie, do czekającej w napięciu grupy przyjaciół. Zatrzymał się przed doktorem i powiedział coś, czego reszta nie dosłyszała.

Doktor przekazał wieści pozostałym, zdradzając oznaki zupełnego niedowierzania. Reszta pobiegła do lasu i wróciła po krótkiej chwili. Gorączkowe rozmowy rozgorzały w ogrodzie przed domem; wieści, jak przekazywane telegrafem, szybko rozniosły się po całej okolicy, zanim uświadomiono sobie w pełni tragiczne znaczenie faktu; przed zmierzchem, czwarta część mieszkańców hrabstwa wiedziała, że Dziedzic Vane zniknął jak mydlana bańka.

Dziwna historia była szeroko rozpowszechniana, skrupulatnie analizowana i minęło trochę czasu zanim miała ona swój dalszy ciąg. W międzyczasie, Paynter usunął się z domu pogrążonego w żałobie, albo raczej w wysiłkach zrozumienia, co się wydarzyło. Ale nie opuścił miejscowości zupełnie, zatrzymując się w pobliskim zajeździe; a to ponieważ Barbara Vane nalegała aby pozostał, potrzebując jego emocjonalnego wsparcia jako dodatek do pocieszenia, jakie odebrała od doktora i prawnika, którzy byli zaprzyjaźnieni z jej rodziną od lat. Nawet Treherne był mile widziany, przynajmniej od czasu do czasu, z nadzieją, że może pomóc w poszukiwaniach zaginionego. Cała piątka gromadziła się często przy okrągłym stole w ogrodzie, tym samym, przy którym niefortunny pan domu spożył swą ostatnią kolację; a Barbara przybrała swoją dawną kamienną maskę, która dodawała jej teraz więcej tragicznego wyrazu. Nie okazała zbyt dużych emocji pierwszego dnia, kiedy to zabrała głos tylko raz, mówiąc dość zaskakująco, przynajmniej z punktu widzenia niektórych z obecnych.

Wyłoniła się z domu, w którym pozostawała, powodowana własną rozwagą, a może też rozwagą kogoś innego, w noc zakładu; można było odczytać z jej oblicza, że ktoś przekazał jej nowinę; a Miles, butler, stał na schodach za jej plecami i to prawdopodobnie on był tym zwiastunem.

- Niech się pani nie martwi, pani Vane, - powiedział doktor Brown przyciszonym i raczej niepewnym głosem. - Poszukiwania dopiero się zaczęły. Jestem pewny, że wkrótce znajdziemy prostą odpowiedź.

- Doktor ma rację, - wtrącił Ashe swoim stanowczym tonem; - Ja sam...

- Doktor nie ma racji, - przerwała mu dziewczyna, obracając swą bladą twarz na prawnika, - Ja wiem lepiej. Poeta ma rację. Poeta zawsze mają rację. Och, poeci tu byli od początku świata, widzieli cuda i tragedie, które czają się na tych ścieżkach, ukryte w krzakach albo pod kamieniami. Pan i pańska medyczna wiedza - pan jest tu tylko od paru pokoleń. I nie potrafi pan nawet wyleczyć wszystkich dolegliwości ciała. Proszę mi wybaczyć, doktorze, szanuję pańską pracę; ale gorączka spadła na wioskę, ludzie umierają jeden po drugim. A teraz mój biedny ojciec. Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Możemy tylko Jemu zaufać; bo nie możemy zawierzyć szatanowi.

Po czym opuściła ich wolnym krokiem a nikt nie śmiał podążyć za nią.

Wiosna dopiero co zaczęła dojrzewać do lata i pierwsze liście dopiero zaczęły pojawiać się na drzewach ponad ogrodowym stołem, gdy gość z Ameryki, siedząc przy stole z obydwoma profesjonalistami, przerwał ciszę, wypowiadając opinię, która od dawna gościła w myślach ich wszystkich.

- Cóż, - powiedział, - przypuszczam, że cokolwiek mądrego moglibyśmy powiedzieć, wszyscy rozważamy tę samą możliwą opcję. Trudno ująć to w łagodne słowa, jak by na to nie patrzeć; ale, niemniej, jest jeszcze przyziemna strona całej tej sprawy. Co mamy teraz zrobić z interesami biednego Dziedzica, oprócz tego, że nie możemy przestać go szukać, oczywiście. Przypuszczam, że pan będzie wiedział, - zwrócił się do prawnika, - czy zostawił testament?

- Pozostawił wszystko swojej córce bez żadnych warunków, - odparł Ashe. - Ale nic nie możemy z tym zrobić. Nie mamy dowodu, że nie żyje.

- Prawnego dowodu? - Zapytał Paynter sucho. Tik zdenerwowania pojawił się na brwi doktora Browna, który poruszył się niecierpliwie.

- Oczywiście, że jest martwy, - powiedział. - Po co te prawne zawiłości? Wszyscy obserwowaliśmy ten kraniec lasu, nieprawdaż? I człowiek nie jest w stanie przejść ponad tymi wysokimi klifami inną drogą; prawdopodobnie wpadł do wody. Musi być martwy do tej pory.

- Ja mówię tylko to, co prawo pozwala tu powiedzieć, - odparł Ashe unosząc brwi. - Nie możemy zakładać, że nie żyje, ani oddawać się innym spekulacjom, dopóki nie znajdziemy ciała zmarłego, a przynajmniej szczątków, które będzie można zidentyfikować.

- Rozumiem, - powiedział łagodnie Paynter. - Pan mówi jak prawnik; ale nie przypuszczam, że jako człowiek myśli pan tak samo.

- Wolę być człowiekiem niż prawnikiem, - powiedział doktor, raczej szorstko. - Nie wiedziałem, że prawo zawiera takie nonsensy. Jaki pożytek ze wzbraniania biedniej dziewczynie prawa do jej własności, pozwalając domostwu popaść w ruinę? Powiem wam, ja stracę posadę również, a pacjenci opiekę medyczną.

I ukłoniwszy się dwornie, opuścił towarzystwo, kierując się ścieżką w stronę wioski.

- Ten człowiek wykonuje swój obowiązek, jak każdy z nas, - zauważył Paynter. - Musimy mu wybaczyć… czy powinienem powiedzieć zasady, czy zachowanie?

- Ja go nie obwiniam, - odparł Ashe z uśmiechem. - Ale cieszę się, że sobie poszedł, ponieważ… cóż, ponieważ nie chciałbym mu pokazać jak jest zabawny. - Rozparł się w krześle, zwracając głowę w stronę liściastego sklepienia.

- Jest pan pewny, - powiedział Paynter patrząc na blat stołu, - że Dziedzic Vane jest martwy?

- Najzupełniej, - potwierdził Ashe nie odwracając wzroku od korony drzewa. - Co więcej, wiem, jak zginął.

- Ach! - odparł Amerykanin, nabierając powietrza. Przez chwilę pozostali milczący, jeden wpatrzony w górę, drugi na stół.

- Być może powiedzieć, że wiem na pewno, byłoby za dużo, - ciągnął Ashe po chwili. - Ale nie będzie panu łatwo wybić mnie z mojego przekonania. Nie podjąłbym się obrony przy takim oskarżeniu.

- Obrony przy takim oskarżeniu, - powtórzył Paynter i przeniósł nagle wzrok na swojego rozmówcę. Po raz kolejny zwrócił uwagę na jego napoleoński podbródek i szczękę, jak wtedy, gdy opowiadał legendę św. Securisa.

- Chyba nie wierzy pan, że drzewa…

- Pal licho drzewa! - Odburknął prawnik. - Drzewo tamtej nocy miało parę nóg. Coś, co nasz przyjaciel poeta, - dodał z pogardą, - nazwałby chodzącym drzewem. *A propos* naszego przyjaciela poety, pewnie pan zauważył, że nie przez całą noc pozostawał na tej alejce, wzdłuż przybrzeżnych drzew. I jeśli nie urażę pana w jego ignorancji, muszę dodać, że teraz jestem nawet bardziej pewny, niż przedtem.

- Pewny czego? - Zapytał tamten.

- Niech mi pan pozwoli zacząć, - powiedział Ashe, - od tego, że nasz przyjaciel poeta podążył do lasu w ślad za Vane'm, bo widziałem go wracającego z tamtej strony.

Paynter pochylił się nad stołem, nagle szaro-blady z podniecenia i uderzył w stół aż drewno zagrzechotało.

- Jest pan w błędzie, panie Ashe, - niemal wykrzyknął. - Pan jest wspaniałomyślnym człowiekiem, ale jest pan w błędzie. Nie wiem dlaczego nabrał pan takiego przekonania. Ja znam tego poetę; znam go jako poetę; a pan nie. Wiem, że odpowiadał na pańskie pytania w dość opryskliwy sposób, zdawał się żartować z pana i złorzeczyć, ale pan nie rozumie tego typu ludzi. Teraz chyba wiem, dlaczego nie rozumie pan Irlandczyka. Myśli pan, że to człowiek, który jest raz łagodny, a czasami przebiegły, a czasami groźny i niecywilizowany; a jednak zapewniam pana, że jest on w pełni cywilizowanym człowiekiem, przez cały czas, drżący z emocji rozumienia rzeczy, których pan nie jest w stanie zrozumieć.

- To się okaże, - powiedział Ashe, - który z nas ma rację.

- Okaże się na pewno, - zapewnił Cyprian Paynter i podniósł się nagłym ruchem od stołu. Cała powierzchowność estety opadła z niego, jego jankeski akcent zdominował jego głos, jak sygnał do obrony i zmienił się całkowicie w człowieka z Nowego Świata.

- Myślę, że dopilnuję tego osobiście, - powiedział wyciągając swoje długie ramiona jak zawodnik. - Przeszukam jutro ten las osobiście, jutro, bo dziś może jest już trochę za późno.

- Las był już przeszukany, - stwierdził prawnik, unosząc się z krzesła.

- Tak, - potwierdził Amerykanin. - Był przeszukany przez służbę, policję, lokalną policję i wielu innych ludzi; a jednak ja mam wrażenie, że tak naprawdę nikt tak naprawdę nie szukał.

- I co ma pan zamiar z tym zrobić? - Zapytał Ashe.

- To, czego oni nie zrobili, - odparł Cyprian, - mam zamiar wspiąć się na to drzewo.

I z miną odzyskanej radości odszedł w stronę swojego zajazdu.

Pojawił się następnego dnia, o świcie, przed domem Vane'a, zdesperowany wyruszyć na wyprawę, jakby wyruszał w podróż do odległych krajów. Miał lornetkę przewieszoną na karku i bardzo duży nóż, wiszący w pokrowcu przy pasku na biodrach. Miał też drugi, amerykański myśliwski nóż i niósł go z fantazją zawadiaki. Ale pomimo tej pozy człowieka prerii, a może z powodu tej pozy, patrzył, z wzrastającym w oczach optymizmem, na malowniczy wiejski krajobraz a zwłaszcza na drewniany kwadratowy herb, który wisiał tuż nad jego głową, przy wejściu do domu Vane'a, rodowy znak dziedzica, tarcza z przedstawieniami niebieskich delfinów, złotych krzyży i szkarłatnego koloru ptaków. Barwy i sześcienne kształty tego herbu cieszyły jego oczy jak jakieś przedstawienie kukiełkowe. Stał z nogami rozstawionymi szeroko, gapiąc się na brukowany podjazd do domu; a potem zaśmiał się głośno i ruszył stromą ulicą prosto w stronę parku i graniczącego z nim ogrodu Vane'a. Z wyższej perspektywy, ponad drzewem i stojącym pod nim stołem, mógł widzieć po jednej stronie otwartą przestrzeń, która w tym porannym świetle upstrzona była malowniczymi szczegółami. Las na równinie przypominał miejscami zielone jeże albo groteskowe, fantazyjne stwory malowane na dawnych średniowiecznych mapach. Krajobraz, poprzecinany różnokolorowymi polami, przypominał heraldyczny atlas; również fantazyjny i wiekowy. Po drugiej stronie, teren obniżał się aż do granicy złowieszczego lasu; z dziwnymi drzewami górującymi na lekko spadzistym zboczu. Ten widok przypominał, jeśli nie wiekowe mapy, to przynajmniej krajobraz z lotu ptaka. Trójka pawich drzew wyrastała samotnie na tle horyzontu; stały one w tej słonecznej ciszy jak klasyczne stwory, trójkątna świątynia wichrów. Były na swój sposób pogańskim elementem, który

stracił swą prymitywną szorstkość. Paynter poczuł niemal chłopięcą ciekawość i śmiałość aby sprawdzić legendę. Nigdy wcześniej, w czasie swoich wojaży, nie miał tak lekkiego kroku, bo jako miłośnik sensacji, wreszcie znalazł coś, co go autentycznie zaabsorbowało - bój dla dobra przyjaciela.

Jednak w pewnym momencie musiał się zatrzymać, bo tuż przed wejściową bramą prowadzącą do wnętrza leśnej gęstwiny, przed tym czarnym, tajemniczym otworem okolonym zielonym i bujnym listowiem, ujrzał ludzką postać.

Był to Martin - drwal, który stał, przestępując z nogi na nogę, w niskich paprociach, patrząc na Payntera zagubionym wzrokiem. Zdawał się mówić sam do siebie.

- Musiałem to upuścić gdzieś tutaj, - mówił rozglądając się. - Ale obawiam się, że już nigdy więcej nie będę tym pracował. Doktor nie pozwolił mi tego podnieść, kiedy próbowałem, a teraz one to mają, tak jak mają Dziedzica. Drewno i żelazo, drewno i żelazo, ale cóż to dla nich, pożrą wszytko.

- Podejdź tu, - powiedział łagodnie Paynter, który pamiętał o rodzinnej tragedii drwala. - Pani Vane da ci nowe narzędzie, jeśli będzie potrzeba, jestem pewny. Przestań rozmyślać nad tymi wszystkimi pogłoskami o zniknięciu Dziedzica. Czy jest najmniejszy powód, żeby łączyć jego nieobecność z drzewami? Czy widzisz tu jakąś nową gałąź, o której mówi niemądra legenda?

Paynter coraz bardziej podejrzewał, że mężczyzna nie jest przy zdrowych zmysłach; ale czuł się kompletnie zaskoczony gdy w odpowiedzi usłyszał bardzo racjonalne pytanie wypowiedziane ze spokojną równowagą i powagą w spojrzeniu drwala.

- A czy policzył je pan wcześniej?

Potem jakby szaleństwo wróciło weń; Paynter pozostawił go w tych paprociach, zadziwionego, szukającego, pogrążonego w myślach. Sam wkroczył w bramę i natychmiast pogrążył się w ciemnym lesie.

Wszedłszy pod to leśne sklepienie, znalazł się na pokrytej leśną ściółką ścieżce gdzie promienie letniego słońca ledwo docierały, tworząc szmaragdową atmosferę, jakby podwodnego świata. Ścieżka zawijała się coraz bardziej im bardziej zbliżał się do trzech drzew, tak jakby stanowiły one centrum żywopłotowego labiryntu w Hampton Court. Dla niego były labiryntem, w rzeczy samej; starał się iść na tyle prostą linią, na ile ścieżka mu pozwalała; a gdy minął ostatni zakręt zobaczył, po raz pierwszy, fundamenty tych trzech wież naturalnej wegetacji, których konary jedynie mógł dotychczas obserwować z oddali. Okazało się, że twierdzenie, że wszystkie trzy wyrastają z jednego korzenia jak kandelabr, nie było pozbawione sensu; rozwidlenie, porosłe wilgotnym i plamistym grzybem, było dość nisko nad ziemią, można było łatwo użyć je jako pierwszy stopień. Postawił stopę na rozwidleniu i bez zastanowienia zaczął wspinać się na drzewo jak Jack na łodygę swojej fasoli.

Ponad nim, zielony dach z liści i plątaniny gałęzi tworzył nieprzenikniony firmament; ale naginając gałęzie w lewo i w prawo, udało mu się posunąć w górę i w końcu, dość nieoczekiwanie, znalazł się na tym dachu świata, w pełnym słońcu. Czuł się tak jakby nigdy wcześniej nie zażywał świeżego powietrza. Morze i ląd okalały koliście szczyt wysokiego drzewa. Usiadł okrakiem na jednej z gałęzi; był niemal całkowicie zaskoczony, gdy zobaczył, że słońce jest wciąż dość nisko nad horyzontem, tak jakby był świadkiem wiecznego wschodu słońca.

- Cisza na szczycie Darien, - powiedział na głos zupełnie bez potrzeby ale

wesoło i chociaż takie stwierdzenie wydawało się nielogiczne, było dość odpowiednie do sytuacji. Czuł się bardziej jak dawny wędrowiec, który właśnie dotarł do Nowego Świata, aniżeli współczesny podróżnik, który dopiero co opuścił ten Nowy Świat.

- Ciekawy jestem, - ciągnął swój monolog, - czy rzeczywiście jestem pierwszym, który wtargnął na szczyt tego niemego drzewa. Na to wygląda. Te...

Przerwał nagle i przez chwilę siedział na swojej gałęzi bez ruchu, a jego oczy zwrócone na jedną z gałęzi poniżej, skoncentrowane na czymś, jak oczy kogoś, kto patrzy na węża.

To, na co patrzył, mogło zdawać się dużym białym grzybem rozrośniętym na gładkim i ogromnym konarze, ale to nie był grzyb. Przechylając się ryzykownie na gałęzi, udało mu się dosięgnąć tę rzecz i uwolnić od sęka, na którym zawisła. Potem siedział trzymając przedmiot w rękach i oglądając ze wszystkich stron. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że był to kapelusz panama Dziedzica Vane'a. Tylko że nie było pod nim Dziedzica. Paynter poczuł jakby pewną ulgę, że go tam nie było.

Tam, w pełni słońca, morskiej bryzy, natychmiast powróciły do niego wszystkie legendy i tropikalne makabryczności, które sam opowiadał. Otoczyły go one i zaparły mu dech. Wyglądało na to, jakby rzeczywiście jakieś demoniczne drzewo z bagien, roślinny wąż, pożerał ludzi. Natrętna i niemal komiczna myśl, że drzewo pożarło człowieka ale nie pożarło kapelusza, wzmacniała tylko koszmar. Wpatrywał się oszołomiony w jeden z liści, który dziwnym trafem obrócił się ku niemu, na którym dostrzegł jakby znaki, faktycznie stworzone przez imaginację zasiloną legendą, które żywo przypominały pawie oczko. Tak jakby drzewo przebudziło się i obserwowało nowego przybysza.

Z pewnym wysiłkiem wyprostował się na gałęzi i powrócił do rzeczywistości; odzyskał swoje władze umysłowe i zaczął powoli schodzić w dół, ściskając w zębach kapelusz Vane'a. Gdy stanął na ziemi, przyjrzał się kapeluszowi raz jeszcze z większą uwagą. W pewnym miejscu na koronie kapelusza, zauważył małe pęknięcie, albo dziurę, której z całą pewnością nie było, gdy widział nakrycie głowy po raz ostatni, leżące na blacie ogrodowego stołu. Usiadł, zapalił cygaro i spędził dłuższą chwilę na rozmyślaniach.

Las, nawet niewielki zagajnik, nie jest łatwym terenem do poszukiwań; ale starał się rozważać sytuację pragmatycznie; leśna gęstwina jest w pewnym sensie, pomocna; w ten sposób mógł wykluczyć pewne miejsca, gdzie ktoś mógł pobłądzić, a ułamane i podeptane gałęzie mogły naprowadzić go na właściwy ślad. Zajęło mu to kilka godzin, ale ostatecznie sporządził coś w rodzaju mentalnej mapy tego miejsca; zadecydował, że właściwie jest tylko kilka kierunków, gdzie ktoś, kto pobłądził, albo z jakiegoś innego powodu przemierzał te ścieżki, mógł się udać. Jednym był niewielki prześwit w gęstwinie krzaków, który mógł być użyty jako skrót w labiryncie ścieżki; drugim było rozwidlenie ścieżki, które sprawiało wrażenie alternatywnej drogi w kierunku centrum. Ale trzeci zdawał się obiecywać najwięcej, a gdy bardziej przyglądał się mu, tym bardziej nabierał przekonania, że ta trzecia droga przybliży go do odkrycia tajemnicy.

Jedna z takich udeptanych ścieżek zaczynająca się u pnia drzewa i wiodąca do leśnej gęstwiny ciągnęła się jakieś dwadzieścia jardów po czym nagle urywała się. Dalej nie było ani ścieżki, ani połamanych gałązek, ani jednego strąconego listka. Ścieżka nie miała wyjścia, ale Paynter nie mógł uwierzyć, że nie posiadała ona żadnego celu. Po krótkim namyśle przyklęknął i zaczął zdzierać nożem

darń i glinę, był zaskoczony z jaką łatwością mu to przychodziło. Kilka chwil zajęło odkrycie fragmentu gruntu, który miał okrągły kształt, jak kształt jakiejś pokrywy; okrągły, płaski, pokryty jakby pierzem. Ale to nie była ziemia, było to faktycznie drewniane wieko z warstwą ziemi na wierzchu i żywą trawą porastającą je miejscami. Gdy odsunął wieko, ujrzał okrągły otwór w ziemi, czarny jak noc i sprawiający wrażenie bezdennego. Paynter zorientował się natychmiast. Wydawało się, że brzeg morza jest zbyt blisko, żeby kopać studnię jak ta, ale jako podróżnik, widział studnie kopane nawet bliżej brzegu morza. Stanął na wyprostowanych nogach z nożem wciąż w dłoni i przerażeniem na twarzy, jego wątpliwości rozwiane. Nie powstrzymywał się dłużej przed nazwaniem tego, co odkrył. Nie pierwszy raz wrzucono ciało zamordowanego do studni; tutaj, bez nagrobka i epitafium, znajdował się grób Dziedzica Vane'a. Prosta, oczywista prawda. Wszystkie nieracjonalne, mitologiczne wyjaśnienia ze świętymi i pawiami zniknęły z jego umysłu; czuł się jakby dostał obuchem w głowę, gdy zdał sobie w pełni sprawę, że Dziedzic Vane został zamordowany.

Cyprian Paynter pozostał przy studni dłuższy czas, krążył wokół otworu w zamyśleniu, badał jego krawędź, krąg trawy dookoła, przeszukiwał teren skrupulatnie, wreszcie powrócił do otworu i stał przez jakiś czas wpatrzony weń. Jego zaaferowanie odkryciem sprawiło, że nie zauważył, że dzień zaczynał zbliżać się ku końcowi a las i otaczający go świat powoli pogrążał się w wieczornym zmroku. Dzień był jasny, spokojny; morze zdawało się być tak nieruchome jak dno studni, a dno studni jak zwierciadło. Wtem, bez żadnego ostrzeżenia czy przyczyny, zwierciadło nagle poruszyło się, jakby ożyło.

Wewnątrz studni, w lesie, woda zapluskała i zabulgotała z groteskowym hałasem tak, jakby coś zostało połknięte, a potem dźwięk zabrzmiał na nowo, po czym wszystko uciszyło się. Cyprian nie widział teraz wnętrza studni bo otwór, z miejsca gdzie stał, miał kształt wąskiej elipsy, częściowo przesłonięty roślinnością porastającą jego krawędzie jak broda usta. Faktycznie, stał on trzy jardy od studni, nie zdając sobie sprawy z tego, że odskoczył przestraszony, gdy usłyszał bulgotanie wody.

Rozdział 3

Tajemnica studni

Cyprian Paynter nie wiedział czego się spodziewać, nie wiedział co może za chwilę wyłonić się z otworu studni, czy zwłoki zamordowanego, czy fontanna wody. Nic takiego się nie wydarzyło doszedł więc do wniosku, że zjawisko, którego był świadkiem musiało być czysto naturalnym fenomenem. Jeszcze raz pozbierał się, zbliżył do studni i spojrzał w dół. Jak za pierwszym razem, ujrzał jedynie płaskie zwierciadło wody, ciemnej w odcieniu jak atrament; miał wrażenie, że wciąż słyszy jakby pomruk, lekkie poruszenie w głębi czeluści, ale wkrótce zapanowała zupełna cisza. Był sam. Wchodzić do studni w pojedynkę było bliskie samobójstwu, nie mógł w tej sytuacji zrobić nic. Zdał sobie sprawę, że nie zabrał ze swoim ekwipunkiem ani liny ani żadnego kosza, który mógłby użyć do przeszukania dna. Ostatecznie zdecydował się wracać. Gdy przemierzał ścieżkę w kierunku wejścia do lasu, rozpamiętywał i składał w całość wszystkie fakty swojego odkrycia tego dnia: Ktoś poszedł do lasu za Dziedzicem, zamordował go i ciało wrzucił do studni, ale powstrzymał się do posądzenia swojego poety; tylko że jeśli to poetę widziano wychodzącego z lasu, sprawa przedstawiała się poważnie. Szedł szybko w zapadającym zmroku, poprzecinanym czerwonymi promieniami słońca, tak że przez chwilę opanowało go uczucie, że morderca uciekając podpalił cały las. Ale był to ten czerwony blask zachodzącego słońca, częsty o tej porze roku.

Gdy przekroczył naturalną bramę wejściową i znalazł się znowu na otwartej przestrzeni, dostrzegł postać mężczyzny, który stał nieruchomo tam, gdzie rano zostawił drwala. Ale to nie był drwal.

Mężczyzna miał na głowie wysoki czarny kapelusz, jaki zwykle nosi się przy żałobie, cała postać prezentowała się żałobnie na tle czerwonego ognia okalającego linię horyzontu, tak że przez chwilę Paynter nie był w stanie rozpoznać w nim nikogo znajomego. Gdy wreszcie udało mu się rozpoznać, jego myśli, dociekania i podejrzenia nabrały nowego kierunku.

- Doktor Brown! - Wykrzyknął. - Na Boga, co pan tutaj robi?

- Właśnie rozmawiałem z biednym Martinem, - odpowiedział doktor, wskazując raczej niezgrabnym gestem drogę prowadzącą do wioski. Paynter spojrzał we wskazywanym kierunku i dostrzegł następną żałobną postać, kroczącą wolno w stronę wsi, w tej krwisto-czerwonej poświacie. Zauważył też, że ręka doktora była również czarna, nie tylko zacieniona na jaskrawym tle, a gdy podszedł bliżej zorientował się, że doktor faktycznie miał na sobie kompletne ubranie

żałobne, łącznie z czarnymi rękawiczkami. Amerykanin poczuł niemiłe zaskoczenie a nawet lekki szok, bo wyglądało to tak, jakby doktor ubrał się stosownie do okazji pochowania zwłok, które nie zostały jeszcze odnalezione.

- Biedny Martin szukał swojej siekiery, - powiedział doktor Brown, - ale powiedziałem mu, że znalazłem ją wcześniej i przechowuję dla niego. Mówiąc między nami, nie uważam, że jest w stanie, w którym można by mu takie narzędzie powierzyć. - Potem, widząc, że Paynter przygląda się jego żałobnemu strojowi, dodał: - Właśnie wracam z pogrzebu. Czy słyszał pan, był jeszcze jeden zgon? Żona rybaka, Jake'a, tego, który ma chatę na wybrzeżu, oczywiście kolejna ofiara gorączki.

Gdy obrócili się i stanęli twarzą na wprost jasnej czerwieni wieczoru, Paynter instynktownie przyjrzał się bliżej nie tylko ubraniu, ale również samemu lekarzowi. Doktor Brown był wysokim, przytomnie patrzącym człowiekiem, schludnie ubranym, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za wojskowego, gdyby nie okulary i wyraz niemal bolesnej intelektualnej świadomości malujący się na podłużnej śniadej twarzy i łysawym czole. Kontrast był wzmocniony przez fakt, że chociaż był on zawsze dokładnie ogolony, nosił ekscentryczne czarne wąsy, które były zbyt krótkie, żeby mógł je przygryźć, ale ciągle wykonywał ustami gest, jakby próbował to zrobić. Mógłby być bardzo zdolnym wojskowym lekarzem, ale wyglądał bardziej jak inżynier albo oficer służb, które zajmowały się bardziej tajną pracą niż praca naukowa. Paynter miał wiele szacunku do człowieka o takich lekko szorstkich rysach, wkrótce zdradził mu wszystkie szczegóły swojego odkrycia. Doktor ujął w ręce kapelusz zaginionego Dziedzica, zbadał nakrycie głowy pieczołowicie. Wcisnął palec w dziurę na koronie i pokręcił nim w zamyśleniu. Paynter uświadomił sobie nagle jak bardzo czuje się zmęczony; ten czarny palec wwiercający się w dziurę w kapeluszu, tak mało poważna rzecz, wprawiła go w stan bezrozumnego niezadowolenia. Doktor ze swej strony potwierdził swoim profesjonalnie wnikliwym rozumowaniem trafność wniosków, które Paynter wyciągnął z dokonanego odkrycia, ale możliwe, że poszedł w swym rozumowaniu znacznie dalej. A gdy usłyszał o wodzie bulgoczącej w studni, spojrzał na Amerykanina przez swoje grube szkła zatrzymując na nim wzrok przez chwilę, a potem nagle zapytał:

- Czy jadł pan obiad?

Dopiero teraz Paynter zdał sobie sprawę, że przez cały dzień, poświęcony emocjonującym zajęciom, nie miał czasu, żeby pomyśleć o jedzeniu.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, - dodał lekarz z żałobnym humorem, - nie mam na myśli, że jadł pan za dużo, raczej obawiam się, że za mało. Widzę, że jest pan lekko oszołomiony tym wszystkim, a pańskie nerwy mogą wyolbrzymiać problemy. W każdym bądź razie, proszę mi pozwolić zasugerować, aby dziś nie robił pan już nic więcej. Niewiele zresztą da się zrobić bez liny albo jakiejś rybackiej sieci, jeśli w ogóle da się coś zrobić; chociaż myślę, że będę mógł się postarać o bosak albo coś w tym stylu, rybacy używają takich rzeczy, widziałem takie narzędzia u biednego Jake'a, przyniosę je dla pana jutro z rana. I tak potrzebuję zostać u niego jakiś czas. Poza tym ufam mu, a zawsze lepiej rozmawiać z kimś zaufanym aniżeli obcym, mam nadzieję, że dobrze mnie pan rozumie.

Paynter zrozumiał wystarczająco dobrze, chociaż nie bardzo rozumiał co trzymało jego wzrok na postaci doktora, gdy ten odszedł i skierował się do chaty rybaka na wybrzeżu. Po dłuższej chwili otrząsnął się z zamyślenia, które nie

wprawiło go w ani trochę lepszy nastrój, ani nie dawało żadnego wytłumaczenia. Pomaszerował więc wolnym, ociężałym krokiem w stronę domu Vane'a.

Doktor, wciąż w żałobnym nastroju, ale już nie w żałobnym garniturze, pojawił się punktualnie następnego poranka, dzierżąc w rękach narzędzia, które obiecał dostarczyć: haki, sieć, wszystko niezbędne do wyłowienia zatopionych rzeczy. Sam musiał wracać do swoich pacjentów, ale nie powiedział nic, żeby zniechęcić Amerykanina od kontynuowania swojego własnego, amatorskiego eksperymentu w roli śledczego. A ten, zdeterminowany w swoim przedsięwzięciu, zażywszy odpoczynku po wysiłkach poprzedniego dnia, był w pełni sił aby przejść z sukcesem każde medyczne badanie i pełen zapału powrócił do miejsca wczorajszych dociekań.

Drugi dzień spędził Paynter w lesie, ale nie tylko w towarzystwie ptaków śpiewających w promieniach letniego słońca. Miał bowiem także towarzystwo bardzo profesjonalnie przygotowanej osoby. Po pożegnaniu doktora, ruszył on w swoją drogę, ale zanim opuścił wioskę, postanowił zajść do spokojnego, brązowo malowanego domu Andrew Ashe - prawnika, który z ochotą przyłączył się do przedsięwzięcia oferując dodatkową parę rąk.

Dwie głowy pochylały się nad otworem leśnej studni: jedna pokryta blond włosem, smukła, pełna zapału; druga rudawa, ciężka, zamyślona; jeśli to prawda, że co dwie głowy, to nie jedna, to jeszcze bardziej prawdziwe jest to, że co cztery ręce, to nie dwie. Studnia tym razem była pozbawiona wody, zupełnie sucha. Co mogło stać się z wodą, nie potrafili powiedzieć, w każdym bądź razie, zjednoczyli swoje siły i po pewnym czasie, ich wysiłki przyniosły realne efekty, proszę pozwolić mi nazwać efektem ciężar, który wydobyli siecią ze studni: był to twardy przedmiot, niewielki, nieco odosobniony w swym istnieniu, to znaczy niekompletny. Kołysał się on na podbieraku, gdy wyciągali go z otworu i wreszcie potoczył się po ziemi na krawędzi studni. Była to ludzka kość.

Ashe ujął kość w rękę, stanął wyprostowany przyglądając się znalezisku z dezaprobatą.

- Potrzebujemy tu doktora Browna, - powiedział. - To może być zwierzęca kość. Pies albo owca, mogła wpaść do tej ukrytej dziury. Nagle przerwał, bo jego towarzysz właśnie wyjmował z sieci kolejną kość. Po pół godzinie takich połowów, Paynter mógł śmiało zauważyć: - Musiał to być raczej duży okaz psa. - Gdy u jego stóp leżał już cały stos kości.

- Jak na razie, nie widziałem niczego, - Ashe mówił spokojnie i do rzeczy. - Co mogłoby być ludzką kością ponad wszelką wątpliwość.

- Przypuszczam, że to może być ludzka kość, - powiedział Amerykanin.

Odwracał twarz z wymiotnym gestem, gdy wręczał prawnikowi czaszkę.

Nie było wątpliwości, była to ludzka czaszka; jej sklepienie mogło kryć tylko ludzki mózg, a poniżej sklepienia znajdowały się dwa ciemne otwory, które mogły być tylko oczodołami. A tuż nad lewym oczodołem, znajdował się jeszcze jeden otwór, mniejszy, który zdecydowanie nie był miejscem dla oka ani innego narządu.

Prawnik mówił, z zauważalnym wysiłkiem:

- Można zgodzić się, że jest to ludzka czaszka, przyznaję, ale nie da się potwierdzić czyja. Może być pewna prawda w tej opowieści o pijanym wieśniaku; mógł stoczyć się do studni. W pewnych warunkach, w wyniku zupełnie naturalnego procesu, ciało mogło rozłożyć się pozostawiając te kości, niekoniecznie z pomocą domniemanego mordercy. Zdecydowanie potrzebujemy opinii doktora.

Potem, raczej niespodzianie, zapytał poważnym, mocnym głosem, tak jakby sam nie wierzył własnym słowom.

- Czy ma pan tutaj kapelusz biednego Vane'a?

Wziął kapelusz z ręki milczącego Amerykanina i z pewnym zniecierpliwieniem nałożył go na czaszkę.

- Nie! - Wyrzucił z siebie Paynter.

Prawnik, podobnie jak dzień wcześniej doktor, wsunął palec w otwór w koronie kapelusza i było widać wyraźnie, że otwór w kapeluszu znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co otwór w czaszce.

- Mam większe prawo do takich reakcji, - powiedział opanowanym, ale lekko drżącym głosem. - Znałem go dłużej niż pan.

Paynter potwierdził skinieniem głowy, zgadzając się z rezultatem identyfikacji. Ostatnia wątpliwość, albo nadzieja zniknęła, powrócił więc ze znacznie słabszą determinacją, do swojego zajęcia przy sieci, które kontynuował aż wydobył wszystko, co zatopione było w studni.

Śpiew ptaków wydawał się teraz donośniejszy, a falowanie zielonej, letniej trawy dookoła odpowiadało odległemu falowaniu zielonego, letniego morza. Tylko rozrośnięte korzenie tajemniczych drzew pozostawały w zasięgu wzroku, reszta kryła się w oddali, otoczeni byli przez las wypełniony małymi, żywymi i radosnymi tworami. Mogli sprawiać wrażenie dwóch niewinnych badaczy naturalistów, a może nawet nieświadomych dzieci, łowiących węgorze albo cierniki w letnie wakacje, gdy nagle Paynter znalazł w sieci coś, co ważyło dużo więcej niż kość. Prawie rozerwało sieć, a w końcu upadło z brzękiem na porośnięty mchem kamień.

- Prawda leżała na dnie studni! - Wykrzyknął Amerykanin donośnym głosem. - Siekiera drwala.

Rzeczywiście, siekiera leżała płasko, połyskując w trawie na krawędzi leśnej studni, podobnie jak leżała w krzakach wtedy, kiedy drwal cisnął ją zanim tragedia się rozpoczęła. Jeden z narożników błyszczącego ostrza poplamiony był na brunatno.

- Rozumiem, powiedział Ashe, - siekiera drwala, a więc musi to być drwal. Tylko że pańskie wnioski są pochopne.

- Moje wnioski są racjonalne, - odparł Paynter, - niech pan spojrzy tutaj, panie Ashe; Wiem, o czym pan myśli. Znam pański brak zaufania do Treherne; ale ja jestem pewny, że tutaj musi się pan zgodzić. Pierwszy racjonalny wniosek jest, że siekiera drwala jest używana przez drwala. Co pan na to?

- Moja odpowiedź jest "nie", - odparł prawnik. - Ostatnia rzecz, jaką drwal użyłby do popełnienia przestępstwa jest jego własna siekiera; zakładając, że jest on przy zdrowych zmysłach.

- Ale on nie jest przy zdrowych zmysłach, - powiedział Paynter spokojnie, - powiedział pan, że potrzebujemy tutaj opinii doktora. Opinia doktora w tym względzie będzie taka sama jak moja. Obaj widzieliśmy go błądzącego tuż przed wejściem do lasu; to oczywiste, że coś musiało mu strzelić do głowy, jakby na to nie patrzeć. Jeśli zabójca byłby rozumnym człowiekiem, jak pan, to pańskie rozumowanie miałoby podstawy. Ale to morderstwo jest zagadką, której brakuje racjonalności. Jest tylko ta zabobonna wiara w legendę. Musiał być powodowany fanatycznym lękiem przed drzewami. Bardzo możliwe, że wierzył, że robi coś ważnego, rodzaj ofiary, do której użył własnej siekiery, rozbiłby głowę Vane'a nawet przed tłumem gapiów, jak w czasie publicznych egzekucji

tracono skazańców. Wciąż szuka swojej siekiery, dla niego to prawdopodobnie święta relikwia.

- W takim razie dlaczego, - zapytał Ashe uśmiechając się, - natychmiast potem poćwiartował ciało i ukrył je w studni?

Paynter uśmiechnął się gorzko.

- Tu mnie pan złapał, - powiedział. - Ale myślę, że ma pan jeszcze coś innego na myśli. Może chce pan powiedzieć, że wszyscy przecież obserwowaliśmy las, ale czy rzeczywiście obserwowaliśmy? Mówiąc otwarcie, mógłbym nawet podejrzewać, że magiczna moc tych pawich drzew wprawiła mnie w senny, chorobliwie senny nastrój.

- Cóż, - zgodził się Ashe, - tu ja muszę się poddać. Nie mogę przysiąc, że ja czuwałem całą noc; ale nie tłumaczyłbym tego magią drzew, ale raczej nawykiem spania w nocy. Ale niech pan spojrzy tutaj, panie Paynter; mamy tu kolejny i nawet lepszy argument przemawiający przeciwko oskarżaniu o zbrodnię kogokolwiek z mieszkańców wioski albo okolicy. Nawet jeśli założymy, że mógł umknąć naszej uwadze tamtej nocy i podążył za Dziedzicem. Ale skąd mógł wiedzieć, że może go spotkać w lesie? Skąd mógł wiedzieć, że poszedł on nocą do lasu? Pamięta pan jak nagłą decyzję podjął biedny staruszek, jak chwilowy impuls opanował go w tamtej minucie. Ten las, to ostatnie miejsce, gdzie w normalnych okolicznościach, ktoś mógłby spodziewać się spotkać Dziedzica, w samym środku nocy! Nie, może to nie zabrzmi najlepiej, ale my, grupa zasiadająca przy ogrodowym stole, byliśmy jedynymi, którzy byli świadomi faktu. A to skłania mnie do powtórzenia tego, co zasugerowałem wcześniej, jako najbardziej przekonujące wyjaśnienie.

- A mianowicie? - zapytał jego rozmówca.

- Że morderca mógł być człowiekiem obłąkanym, - odparł Ashe, - ale znacznie przebieglejszym obłąkańcem niż stary Martin.

Paynter zamruczał coś jakby w proteście, a potem zamilkł.

- Mówmy otwarcie, - ciągnął prawnik. - Treherne posiadał wszystkie te motywy, które pan próbuje przypisać drwalowi. Wiedział, dokąd Vane się udał, a trudno powiedzieć, żeby drwal mógł to odgadnąć. Ale to nie wszystko. Kto właściwie sprowokował Dziedzica do tego bezrozumnego zakładu? Treherne. Kto przewidywał, jak jakiś pseudo-astronom z piekła rodem, że nigdy stamtąd nie powróci? Treherne. Kto, z jakichś powodów, nie ważne jakich, zjadany przez gniew i niepokoje przez całą noc, kręcąc się nerwowo z miejsca na miejsce po klifie, wykrzykiwał nieustannie, że wkrótce będzie po wszystkim? Treherne. A żeby tego było mało, gdy przechadzałem się w pobliżu lasu, kogóż widziałem wyłaniającego się z ciemnej bramy, cichaczem, skrycie, jak cień, ale z twarzą wyraźnie widoczną w świetle księżyca? Mogę przysiąc na mój honor - To był Treherne.

- Straszne, - powiedział Paynter przybitym głosem, - to co pan mówi jest po prostu przerażająco przekonywające.

- Tak, straszne, - odparł Ashe poważnym tonem, - bardzo straszne, ale też bardzo proste. Treherne wiedział, gdzie siekiera został porzucona. Widziałem go, tamtego dnia był tutaj pierwszy, wpatrywał się jak wilk w miejsce gdzie siekiera upadła, gdy młoda pani Vane rozmawiała z nim. W noc zabójstwa, mógł z łatwością odnaleźć siekierę, w drodze do lasu. Bez wątpienia, wiedział też o studni; któż mógłby lepiej znać te miejscowe tradycje związane z pawimi drzewami? Ukrył kapelusz w gałęziach drzewa, na które mniemał (nie istotne z jakich powodów), że nikt nie odważy się przeszukiwać. W każdym bądź razie,

ukrył go, dlatego, że to była jedyna rzecz, która nie utonęłaby w studni. Panie Paynter, czy podejrzewa pan, że mógłbym takie rzeczy mówić o kimś tylko dlatego, że tego kogoś nie lubię? Czy ktokolwiek mógłby coś takiego powiedzieć, gdyby rzecz nie była pewna, tak jak jest pewna tutaj?

- Tak to wygląda, pewna, - powiedział Paynter, bardzo blady. - Nie potrafię dodać niczego więcej żeby zaprzeczyć, może z wyjątkiem lekkiego, mało racjonalnego uczucia; uczucia, że, gdyby w jakiś nadprzyrodzony sposób, biedny Vane stanął w tej chwili tu przed nami żywy, może mógłby opowiedzieć inną, jeszcze bardziej niewiarygodną wersję.

Ashe wykonał ponury gest.

- Czy te suche kości mogą ożyć? - Powiedział.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, - odparł Paynter automatycznie. - Nawet te suche kości…

Zatrzymał się nagle z otwartymi ustami i iskrą niespodziewanego odkrycia w szarym oku.

- Niech pan pomyśli, - powiedział gardłowym i niecierpliwym głosem. - Sam pan użył tego słowa. I cóż to znaczy? Co to może znaczyć? Dlaczego kości są suche?

Prawnik spojrzał zaskoczony na stertę kości.

- Pańska pewna sprawa! - Wykrzyknął Paynter z rosnącym zaangażowaniem. - Gdzie się podziała woda? Ta woda, która bulgotała i tryskała jak fontanna jak sam to wczoraj widziałem? Dlaczego tryskała? Gdzie jest teraz? Pewna! Jesteśmy w samym środku sprawy pełnej zagadek.

Ashe podniósł jedną z kości i przyjrzał się jej uważnie.

- Ma pan rację, - powiedział cichym i drżącym głosem: - ta kość jest wyschnięta na kość.

- Tak, mam rację, - odparł Cyprian. - A to znaczy, że pańska tajemnica pozostaje niewyjaśnioną tajemnicą.

Zapanowała dłuższa cisza. Ashe odłożył kość, podniósł siekierę i zaczął ją badać bardziej dokładnie. Poza brunatną plamą zaschniętej krwi na krawędzi stalowego ostrza, nie było tam nic szczególnego z wyjątkiem dziwnego białego materiału, którym został owinięty trzonek topora, prawdopodobnie dla lepszego uchwytu. Prawnik uznał, że jest to fakt bez znaczenia, poza tym, że materiał wydawał się nowszy, czystszy niż samo narzędzie. Ale materiał, podobnie jak cała siekiera, był suchy.

- Panie Paynter, - powiedział w końcu, - przyznaję, że zabił mi pan ćwieka, w przenośni, jeśli nie dosłownie. Logicznie myśląc, ta zagadka nie ma aż tak dużo wspólnego z moim wyjaśnieniem. Jeśli siekiera nie była zanurzona w wodzie, to na pewno była zanurzona we krwi; a woda tryskająca ze studni nie jest zaprzeczeniem poety wyłaniającego się z lasu. Ale przyznaję, że moralnie i praktycznie, robi to znaczną różnicę. Nie mamy tu do czynienia z wielką sprzecznością, nie wiemy, jak daleko zagadka może się rozciągać. Ciało mogło być poćwiartowane, albo potraktowane wrzątkiem aż do samych kości przez zabójcę, chociaż trudno to powiązać ze stanem umysłowym mordercy. Nie jest wykluczone, że sama woda i ziemia mogła doprowadzić do rozkładu, bo może on przebiegać w różnym tempie. Te niejasności jednak nie wykluczają całkowicie mojej hipotezy co do głównego podejrzanego. Ale mamy tu jeszcze dodatkowe fakty zupełnie innego rodzaju. Że kości pozostały suche w studni pełnej wody, albo że studnia, wczoraj wypełniona wodą, dziś jest wyschnięta,

nie nasuwa nam żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Jest jeszcze nowy czynnik, poważny, tajemniczy. Jeśli nie możemy dać wyjaśnienia tym faktom, nie możemy sformułować oskarżenia przeciwko Treherne ani przeciwko komukolwiek. Nie; możemy teraz zrobić tylko jedno. Ponieważ nie mamy dowodów, aby oskarżyć Treherne, musimy poddać go interrogacji. Musimy postawić sprawę wprost, wierząc, że ma on wytłumaczenie i podzieli się nim z nami. Proponuję wracać i zrobić to bezzwłocznie.

Paynter, skłaniając się ku propozycji, zwlekał chwilę, a potem powiedział:

- Niech mi pan wybaczy odrobinę swobody; jak pan mówił wcześniej, jest pan starym przyjacielem rodziny. W pełni zgadzam się z pańską propozycją, ale zanim zrobimy cokolwiek, myślę, że pani Vane powinna być najpierw do tego przygotowana. Obawiam się, że taka postać rzeczy, może być dla niej poważnym szokiem.

- Bardzo dobrze, - powiedział Ashe, przyjrzawszy się mu przez chwilę. - Udajmy się więc najpierw do Barbary.

Gdy wyszli na skraj lasu, zobaczyli Barbarę Vanę w oddali, w ogrodzie, zajętą pisaniem przy ogrodowym stole, zasypanym listami, a butler, z żółtą twarzą pozostawał tuż za jej plecami w oczekiwaniu na polecenia. Gdy pokonywali trawiastą przestrzeń, a grupa przy stole stawała się większa i lepiej widoczna w promieniach słońca, Paynter poczuł się jak poseł niosący wieść o zagładzie. Uczucie wzmogło się, gdy dziewczyna zauważyła ich sponad stołu i uśmiechnęła na powitanie.

- Chciałbym z panią porozmawiać na osobności, jeśli można, - powiedział prawnik z nutą autorytetu typowego dla jego profesji; a gdy butler został odprawiony, wyjaśnił jej całą sprawę, mówiąc taktownie, ale nie pomijając niczego, począwszy od dziwnego wyłonienia się poety z lasu do ostatniego szczegółu związanego z suchymi kośćmi wydobytymi ze studni. Nie powiedział nic drastycznego albo uwłaczającego, ale Cyprian, z wrodzonym sobie i typowym dla jego nacji poczuciem szacunku dla płci pięknej, czuł się tak, jakby słuchał przemowy inkwizytora. Czekał niecierpliwie na boku, oglądając kilka barwnych obłoków przesuwających się po czystym niebie i jaskrawo-kolorowe ptaki hałasujące w pobliżu lasu. Serdecznie sobie życzył aby mógł na powrót znaleźć się na drzewie.

Wkrótce jednak litość zmieniła się zakłopotanie. Sposób w jaki dziewczyna odebrała wieści okazał się bardziej zaskakujący niż tragiczny. Było to coś, czego się zupełnie nie spodziewał, bo na dobrą sprawę, nie potrafił dostrzec żadnej specjalnej reakcji. Ostateczna identyfikacja czaszki jej ojca, poprzez dziurę w kapeluszu, sprawiła, że zbladła odrobinę, to prawda, ale zachowała pełną równowagę; możliwe, że dałoby się to wytłumaczyć faktem, że od dawna spodziewała się najgorszych wieści. Ale podczas pozostałej części wyjaśnienia, jakaś myśl zagościła między jej szerokimi brwiami pod miedzianymi lokami jej włosów, myśl, która sama w sobie pozostawała zagadkowa. Mógł powiedzieć, że jej reakcja była znacznie bardziej powściągliwa i niezauważalna, aniżeli mógłby się tego spodziewać. Wyglądało to tak, że raczej rozważa jakieś swoje przemyślenia, a nie słucha wyjaśnień prawnika. Zachowała milczenie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przemówiła:

- Dziękuję, panie Ashe, jestem panu bardzo wdzięczna za te wiadomości. Sprowadza to sprawę do punktu, w którym wcześniej czy później musielibyśmy się znaleźć.

Spojrzała jakby rozmarzona na las i morze, a potem dodała:

- To nie jest coś, co by mnie nie dotyczyło bardziej niż pan myśli, zwłaszcza jeśli ujął pan sprawę w taki sposób. To jest czas, gdy muszę pewne sprawy ujawnić, bez konsultacji z kimkolwiek. Mówi pan, jakby to dowodziło czegoś strasznego, że "pan Treherne był tej nocy w lesie." Cóż, nie wygląda to tak poważnie z mojej strony, ponieważ ja wiem, że był on tej nocy w lesie. Faktycznie, ja byłam razem z nim.

- Razem z nim! - Powtórzył prawnik.

- Byliśmy tam razem, - powiedziała spokojnie, - ponieważ mieliśmy prawo być razem.

- Chce pani powiedzieć, - prawnik zająknął się ku własnemu zaskoczeniu, - że są państwo zaręczeni?

- Nie, nie, - odparła. - My pobraliśmy się.

W ciszy, która zapanowała dodała jakby od niechcenia:

- Jesteśmy małżeństwem.

Pomimo mocnej kondycji, prawnik usiadł na krześle z miną kompletnego osłupienia, a Paynter nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Zapewne zapyta pan, - kontynuowała Barbara w ten sam powściągliwy sposób, - dlaczego pobraliśmy się tak po kryjomu, tak, że nawet mój biedny ojciec nic o tym nie wiedział. Cóż, odpowiem panu otwarcie, ponieważ, jeśli mój ojciec wiedziałby o tym, z pewnością pozbawiłby mnie ostatniego szylinga w swoim testamencie. Ojciec nie lubił mojego męża, domyślam się, że pan również go nie lubi. Teraz, gdy to panu mówię, zdaję sobie doskonale sprawę, co pan na to powie, łowcy posagu dopadli swoją ofiarę. Bardzo rozsądne podejrzenie, ale najzupełniej błędne. Jeśli oszukałabym swojego ojca, żeby zdobyć jego pieniądze, a nawet żeby poślubić tego mężczyznę, musiałabym się czuć teraz raczej zawstydzona mówiąc panu o tym. Jak pan widzi, nie czuję żadnego wstydu.

- Tak, - wtrącił Amerykanin, - ja widzę to wyraźnie.

Przyglądała mu się przez chwilę w zamyśleniu, jakby szukała słów do wyjaśnienia jakiejś trudnej kwestii, a potem powiedziała:

- Czy pan pamięta, panie Paynter, tego dnia, gdy pierwszy raz jadł pan przy tym stole, gdy opowiedział nam pan o afrykańskich drzewach? Tego dnia były moje urodziny; powinnam raczej powiedzieć: moje narodziny. Tego dnia narodziłam się, albo przebudziłam, czy może pan to nazwać w jeszcze inny sposób. Chodziłam po ogrodzie, jak w jakimś śnie przy pełni dnia. Myślę, że jest wielu takich lunatyków w naszej grupie społecznej, a może nawet w naszym towarzystwie; zapatrzonych w swoje zdrowie, kierującymi się najlepszymi manierami, dopasowującym swój świat do rzeczywistości w bardzo nierealistyczny sposób. Ja jakoś miałam to poczucie rzeczywistości; wszyscy wiemy jak głęboko zapadają w nas te rzeczy, które poznajemy w najwcześniejszych latach, rzeczy, których zaczynamy być świadomi po raz pierwszy. Ja zaczęłam być świadoma. Jedna z pierwszych rzeczy, które sobie uświadomiłam, była pańska opowieść, panie Paynter. Słuchałam tej legendy o św. Securisie, jak dzieci słuchają opowieści o św. Mikołaju, tak, jakby to wysokie drzewo było tylko zjawą z innego świata, ale ja wierzyłam w nie. Dlatego, że ja wierzę w takie rzeczy, a raczej wierzę coraz bardziej; jestem pewna, że mój ojciec powodowany był brakiem wiary, a wy zmierzacie do katastrofy jego śladem. Dlatego właśnie chcę tę posiadłość, i dlatego nie czuję się zawstydzona w mym pragnieniu. Jestem najzupełniej przekonana, panie Paynter, że nikt inny nie jest w stanie uratować tego rujnującego się kraju, tych wymierających ludzi,

tylko ktoś, kto rozumie. Mam na myśli kogoś, kto rozumie te tysiące małych znaków i wskazówek, które kryją się w ziemi tego regionu, dziś już niemal wyniszczonych śladów. Mój mąż rozumie i ja zaczęłam też rozumieć; mój ojciec nigdy by nie zrozumiał. Są siły, jest duch miejsca, są istnienia, których nie należy ignorować. Och, proszę nie myśleć, że to tylko mój sentymentalizm albo tęsknota za starymi, dobrymi czasami. Stare czasy niekoniecznie były takie dobre; to tylko punkt odniesienia, a my musimy zrozumieć wystarczająco, żeby móc odróżnić dobre od złego. Musimy zrozumieć wystarczająco dużo, żeby ocalić resztki świętej albo przynajmniej uświęconej czasem tradycji. Mówiąc inaczej, gdzie zły bóg był czczony, zniszczyć jego ołtarz i ściąć jego plon.

- Jego plon, - powtórzył Paynter automatycznie i zwrócił wzrok na odległy zagajnik i baraszkujące w słonecznym świetle ptaki.

- Pani Treherne, - powiedział Ashe z ogromnym spokojem, - nie są to dla mnie takie obce rzeczy, jak próbuje pani wykazać. Nie powiem, że to wszystko nonsens, bo jest w tym coś więcej. To jest, jeśli mogę to tak ująć, mowa zakochanej osoby. Nigdy nie zaprzeczałem, że takie idee wprawiają świat w ruch, jeśli ludzie podążają razem z nim i jest to ruch we właściwym kierunku. Ale są jeszcze sentymenty innego rodzaju, proszę pani, obowiązki innego rodzaju. Nie potrzebuję pani mówić, że pani ojciec był dobrym człowiekiem, a to, co go spotkało, jest co najmniej żałosne, nawet jeśli było to przeznaczenie nierozumiejącego. To straszna tragedia. Ale to właśnie w czasie, gdy stajemy w obliczu tragedii, musimy zachować nasz zdrowy rozsądek. Wszystko ma swoją rację bytu, a gdy mój przyjaciel leży zamordowany, poćwiartowany, proszę mi nie opowiadać nawet najbardziej czarujących legend o świętym i jego zaczarowanym zagajniku.

- A pan! - Wykrzyknęła rozpłomieniona zrywając się ze swojego miejsca. - Z jakimi opowieściami pan przychodzi do mnie? W jakim zaczarowanym lesie PAN przebywa? Przyszedł pan i mówi, że pan Paynter znalazł jakąś studnię, gdzie woda tańczyła a potem zniknęła; ale oczywiście cuda to tylko nonsens! Mówi pan, że na własne oczy widział kości wyłowione z wody, które były suche jak herbatniki; ale zaklinam pana, proszę nie opowiadać nam rzeczy, na które głowy odwracają się z niedowierzaniem! Naprawdę, panie Ashe, musi pan spróbować zachować trochę więcej zdrowego rozsądku!

Na jej twarzy malował się uśmiech, ale oczy gorzały; Ashe powstał z mimowolnym gestem kogoś, kto daje za wygraną.

- Musimy już iść, - powiedział. - Czy mogę powiedzieć, że dla pani nowej lekcji w sprawach transcendentalnych należą się wyrazy szacunku? Jeśli pani pozwoli, zawsze wiedziałem, że posiada pani władze umysłowe a teraz widzę, nauczyła się je pani używać.

Dwaj detektywi-amatorzy powrócili do lasu na pewien czas, który Ashe chciał poświęcić na zebranie szczątków Dziedzica. Jak zaznaczył, teraz była już prawna podstawa do zbadania szczątków i stwierdzenia przyczyny śmierci, nawet na tym początkowym etapie śledztwa, chciał wykonać to natychmiast.

- Ja spróbuję potwierdzić przyczynę zgonu, - powiedział, - przypuszczam, że będzie to sprawa “osoby albo osób niezidentyfikowanych”, chociaż mamy podstawy twierdzić, że wiemy czyje są te szczątki. Proszę nie być zaskoczonym; tak się często robi, żeby dać sprawcy złudzenie bezpieczeństwa. Nie będzie to pierwszy raz, gdy sekcja zwłok zostanie wykonana zanim śledztwo oficjalnie się zaczęło.

Ale Paynter nie przykładał do tego wielkiej wagi; jego wrodzony entuzjazm, przez długi czas spalany jedynie w zachwytach artystycznych, został

wzmocniony do rangi inspiracji przez dramat wzięty z życia, dramat w który nieoczekiwanie wkroczył. Był on zaprawdę utalentowanym krytykiem; posiadał geniusz doceniania, a jego uznanie dopasowywało się do wszystkiego, co doceniał.

- Wspaniała dziewczyna, wspaniała historia, - wykrzyknął. - Czuję się tak, jakbym sam się zakochał po raz kolejny, nie tyle w niej, co w samej Ewie albo trojańskiej Helenie, albo innej wzniosłej piękności wczesnych epok. Czy nie czuje pan żadnego uczucia do tych wszystkich bohaterskich dzieł, do tej wagi i autentyczności, sam fakt, że odstąpiła od domowego komfortu i stanęła u boku tego wagabundy, w dzikim lesie? Och, proszę mi wierzyć, to ona jest tu poetką; ona posiada ten wyższy zmysł, a honor i cnota wypełniają jej duszę.

- Mówiąc krótko, jest wyjątkowo atrakcyjna, - odparł Ashe cynicznie. - Spotkałem w mojej praktyce zimnokrwiste morderczynie, całkiem w jej stylu, a nawet z tym samym kolorem włosów.

- Mówi pan tak, jakby o winie decydował kolor włosów a nie krew na rękach, - odparował Paynter. - Niech pan nie zapomina, że pana również można by obwiniać z powodu koloru włosów. Czy jest pan zabójcą, przy okazji?

Ashe spojrzał na niego przelotnie i uśmiechnął się.

- Myślę, że jestem specjalistą w temacie zabójców, tak jak pan w temacie wierszopisów, - powiedział, - mogę pana zapewnić, że zdarzają się mordercy o wszelkim kolorze włosów i wszelkim temperamencie. Możliwe, że to trochę nieludzkie podejście, ale moje zajęcie jest ogromnie zajmujące, nawet w takim małym miejscu, jak tu. Jeśli chodzi o tę dziewczynę, oczywiście znam ją od zawsze, ale to właśnie mnie zastanawia. Czy rzeczywiście znam ją tak dobrze? Czy w ogóle mogę powiedzieć, że ją znam? Czy ona dała mi się poznać? Pan ją podziwia za to, że powiedziała prawdę; wierzę, że powiedziała, zwłaszcza wtedy, gdy mówiła o ludziach, którzy się budzą późno, którzy wcześniej tak naprawdę nie żyli. Czy możemy przewidzieć, co oni mogą zrobić, jeśli widzieliśmy ich tylko uśpionych?

- Wielkie Nieba! - wykrzyknął Paynter, - nie ma pan chyba zamiaru powiedzieć, że to ona…

- Nie, nie mam, - odpowiedział prawnik opanowanym głosem, - ale są inne okoliczności… Ja niczego nie stwierdzam ostatecznie, dopóki nie przesłuchamy tego pańskiego poety osobiście. Myślę, że wiem, gdzie możemy go znaleźć.

Rzeczywiście, znaleźli go wcześniej niż się spodziewali, siedzącego na ławce przed domem Vane'a, popijającego wino z garnuszka i czekającego na powrót amerykańskiego przyjaciela; nie mieli więc żadnych trudności aby rozpocząć z nim rozmowę. Ani też on nie próbował w żaden sposób unikać tematu tragedii; a prawnik, sadowiąc się na długiej ławce zwróconej na mały wiejski targ, wyłożył całą sprawę tak wymownie, jak to uczynił w rozmowie z Barbarą.

- Cóż, - powiedział wreszcie Treherne, opierając się na ławce, spoglądając na rodzinny szyld z kolorowymi ptakami i delfinami, zawieszony dokładnie nad jego głową; - przypuśćmy, że ktoś rzeczywiście zabił Dziedzica. On sam doprowadził wielu do śmierci przez swoją higienę i oświecony sposób zarządzania majątkiem.

Taki wstęp sprawił, że Paynter poczuł się odrobinę zaniepokojony; ale poeta kontynuował chłodnym tonem, z rękami w kieszeniach i nogami wyciągniętymi na drogę.

- Gdy ktoś ma władzę tureckiego sułtana i używa jej do realizowania pomysłów starej panny z londyńskiego przedmieścia, zawsze dziwię się, że nikt

nie wbije mu noża w plecy. Szkoda, że mordercy nie mają żadnej sympatii, w pewnym sensie. Ja sam współczuję losu biednego staruszka; ale wy, gentlemani, zawsze zapominacie, że jeszcze są inni ludzie na tym świecie. Prawnik ma rację; on był dobrym człowiekiem i śmiem twierdzić, że jego dusza zawędrowała do najbardziej ekskluzywnego raju ze wszystkich.

Zaniepokojony Amerykanin nie był w stanie odczytać żadnych uczuć na napoleońskiej twarzy mecenasa, który zdobył się tylko na krótkie pytanie:

- Co ma pan na myśli?

- Raj głupców, - odparł Treherne i wypił do dna ze swojego garnuszka.

Prawnik powstał. Nie patrzył na Treherne ani nie odezwał się do niego; ale obrócił się i przemówił do Amerykanina, dla którego opinia prawnika nie była ani trochę zaskakująca.

- Panie Paynter, - powiedział Ashe, - dla pana może to dosyć przygnębiające zajęcie, kolekcjonować morderców, ale w sytuacji, w której się znaleźliśmy, musi pan przyznać, jest z tego pożytek. Może pana zaskoczę, ale jak dla mnie, pan Treherne w tym momencie całkowicie oczyścił się z zarzutów. Miałem do czynienia z niejednym mordercą, jak wspomniałem wcześniej; jest jedna rzecz, której oni nigdy nie robią. Nigdy nie spotkałem mordercy, który mówiłby o mordercach jednocześnie potępiając ich i usprawiedliwiając. Nie, jeśli ktoś próbuje ukryć swoją zbrodnię, dlaczego miałby ją usprawiedliwiać.

- Cóż, - powiedział Paynter, doceniając natychmiast słowa prawnika, - zawsze mówiłem, że jest pan wyjątkowym człowiekiem; a to z pewnością wyjątkowa konkluzja.

- Czy mam rozumieć, - zapytał poeta, kopiąc kamienie brukowanej drogi, - że panowie mieli zamiar posłać mnie na szafot?

- Nie, - odparł Paynter, - ja nigdy nie wątpiłem w pańską niewinność; niech pan spróbuje dobrze zrozumieć, nawet jeśli brałem pod uwagę taką ewentualność, nie patrzyłem na to jako zbrodnię. Tak bym myślał, gdyby chodziło o pieniądze, albo inną ziemską rzecz, ale czyn popełniony w imię wyższych wartości, wart by był geniusza. W każdym bądź razie, poeci mają pasje, których nie da się zaspokoić ziemskimi dobrami; świat zawsze ma więcej wyrozumiałości do poetów. Ale teraz, gdy pan Ashe jednoznacznie potwierdził pańską niewinność, mogę najzupełniej otwarcie powiedzieć, że zawsze tak utrzymywałem.

Poeta uniósł się z ławki.

- A zatem, jestem niewinny, ale, - powiedział, - myślę, że mogę nieco pomóc w wyjaśnianiu sekretu znikającej studni, chociaż śmierć i suche kości pozostają dla mnie taką samą tajemnicą, jak dla was; że tak powiem. A przy okazji, mój drogi panie Paynter, - zwrócił parę bystrych oczu na literackiego krytyka, - wybaczam panu to, że mi pan wybaczył czyny, których nie popełniłem; a pan, mam nadzieję, wybaczy mi, że nie podzielam pańskiej opinii w temacie moralności poetów. To, co pan powiedział, może być popularną opinią, ale w moim przekonaniu to błędne przekonanie. Nikt nie ma mniej prawa do popełnienia przestępstwa niż człowiek obdarzony ponadprzeciętną wyobraźnią. Bo to człowiek, który doświadcza swoich duchowych przygód i bierze urlop wtedy, kiedy ma na to ochotę. Mógłbym sobie wyobrazić Dziedzica przenoszącego się do krainy elfów, kiedy tylko chciałbym go tam przenieść, nie potrzebowałbym popełniać zbrodni, która by mnie tylko pogrążyła. Ten czerwony zachód słońca tamtej nocy mógł być tym, czym morderca mógł być dla wielu ludzi. Nie, panie Ashe; proszę pokazać, następnym razem, gdy pokusi się pan o osądzanie ludzi, odrobinę litości dla tego nikczemnika, który pije i rabuje, bo potrzebuje się napić i żeby

wypić to piwo, musi wpierw je zdobyć. Miej litość w następnej sprawie, dla złodziei, którzy kradną rzeczy, bo potrzebują je mieć. Ale jeśli złapie mnie pan kiedykolwiek na kradzieży najdrobniejszego grosza wtedy, gdy zamknę oczy i śnię o El Dorado, wtedy - uniósł głowę jak sokół, - wtedy proszę nie okazywać mi najmniejszej litości, bo na nią nie zasługuję.

- Cóż, - powiedział Ashe po chwili, - muszę poczynić przygotowania do sekcji zwłok. Panie Treherne, pański punkt widzenia jest wyjątkowo interesujący; naprawdę, niemal żałuję, że nie mogę pana dodać do mojej kolekcji morderców. To bardzo różnorodna i niezwykła kolekcja.

- Nigdy nie przyszło panu do głowy, - zapytał Paynter, - że ludzie, którzy nie popełnili nigdy przestępstwa, też mogą być różnorodni i niezwykli? Możliwe, że każdy prostak chowa pewną tajemnicę, tajemnicę niepopełnionych grzechów.

- Możliwe, - odparł Ashe. - Ale byłoby raczej trudno zatrzymywać na ulicy każdego i pytać jakich przestępstw nigdy on nie popełnił i dlaczego ich nie popełnił. A tak się składa, że nie mam za wiele czasu, proszę mi wybaczyć.

- Więc, - zaczął Amerykanin, gdy zostali sami, - co to za sekret może pan wyjaśnić w sprawie tej znikającej wody w studni?

- Nie wiem, czy to dobry czas, żeby o tym mówić, - odpowiedział Treherne z lekko zawadiackim błyskiem w ciemnych oczach. - Ale powiem panu coś innego, co może mieć z tym związek; coś, o czym nie mogłem mówić, dopóki moja żona nie powiedziała wam o naszym spotkaniu w lesie. - Jego twarz spoważniała a po chwili kontynuował:

- Gdy moja żona ruszyła w ślad za swoim ojcem, powiedziałem jej, żeby wróciła i opuściła dom innym wyjściem, że spotkamy się w lesie za pół godziny. Często spotykaliśmy się tam i, oczywiście, mieliśmy z tym dużo zabawy, ale tym razem sytuacja była poważna a ja nie chciałem popełnić jakiegoś błędu w pośpiechu. Pytanie było, czy dałoby się coś zrobić, żeby udaremnić ten głupi eksperyment, oboje uważaliśmy, że to niebezpieczne, ale ona po zastanowieniu stwierdziła, że jakakolwiek ingerencja może tylko pogorszyć sytuację. Wiedziała, że stary zawadiaka, jeśli postanowił się z czymś zmierzyć, nie da się łatwo odwieść od swojego zamiaru ani przez tego, który go sprowokował ani przez dziewczynę, którą traktował jak nieletnią. Posłuchała mnie jednak i wróciła do domu z rozterką w sercu, a ja pozostałem w pobliżu wejścia do lasu z ostatnią nadzieją uratowania sytuacji, wszedłem do zagajnika i dotarłem niemal do jego środka; a wtedy, zamiast ciszy, której się spodziewałem, usłyszałem ludzki głos. Wydawało się, że Dziedzic mówi sam do siebie i doznałem nieprzyjemnego uczucia, że postradał on zupełnie zmysły w tym zakazanym miejscu. Ale szybko się zorientowałem, że jeśli mówił sam do siebie, to najwyraźniej mówił dwoma różnymi głosami. Nowe podejrzenia przyszły mi do głowy, wydawało mi się, że drugi głos to głos drzewa, albo, że cała rozmowa to była rozmowa drzew, bez udziału ludzkiej istoty. Ale to nie był głos drzewa. Po krótkiej chwili rozpoznałem drugi głos, bo słyszałem go wystarczająco wiele razy w ogrodzie, przy stole. To był głos tego waszego doktora; słyszałem go tak wyraźnie, jak pan słyszy mój głos w tej chwili.

Po chwili milczenia, ciągnął:

- Wyszedłem z lasu, nie do końca rozumiejąc, dlaczego, z niespokojnymi i oszołamiającymi uczuciami; a gdy znalazłem się w świetle Księżyca, zobaczyłem naszego prawnika, który stał tam spokojnie, ale patrzył na mnie jak dzika sowa. W każdym bądź razie jego włosy czerwieniły się płomieniście, ale twarz

pozostawała w cieniu. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że była to twarz mojego oskarżyciela.

Usiadł ponownie na ławce, uśmiechając się lekko i dodał:

- Tylko, że jak w przypadku niektórych oskarżycieli, że czekał cierpliwie, żeby powiesić niewinnego.

- A winny… - zaczął Paynter bez zastanowienia.

Treherne wzruszył ramionami, rozciągnął się na ławce i zaczął zabawiać się pustym garnuszkiem.

Rozdział 4

W pogoni za prawdą

Jakiś czas po sekcji zwłok, która zakończyła się bez jednoznacznego rezultatu, jak pan Andrew Ashe sam przewidywał i sformułował, Paynter, jak zazwyczaj, siedział na ławce przed wiejskim zajazdem, a na małym stole przed nim stała wysoka szklanka wypełniona jasnym *ale*, które, jako miejscowy napitek, smakowało mu dużo bardziej niż likier. Towarzyszyła mu tylko jedna osoba, nowo poznana, mały targ o tej porze dnia był pusty, a on ostatnie dni spędzał raczej w samotności. Nie był z tego powodu nieszczęśliwy, przypominał w charakterze swojego wybitnego rodaka, Walta Whitmana, nosząc w sobie kompletny mały wszechświat, jak otwarty parasol; tylko, że był on nie tylko samotny, ale też pozostawiony samemu sobie. Ashe wyjechał do Londynu, a po powrocie musiał zająć się nudnymi sprawami sądowymi, które nie miały nic wspólnego z morderstwami. A Treherne, od pewnego już czasu, zajął oficjalnie swoje miejsce w wielkim domu, jako mąż wielkiej damy i małżeństwo było zajęte wprowadzaniem wielkich gruntownych zmian w całym majątku. Zwłaszcza właścicielka, która zmieniła się w bardzo aktywną gospodynię, zajęła się zewnętrznym otoczeniem domostwa z energią tytana. Było więc naturalne, że tak towarzyski duch, jak Paynter, będzie szukał nowego towarzystwa i wkrótce znalazł takowe w postaci nowego przybysza, tak jak on, przyjezdnego, który zatrzymał się w tym samym zajeździe. Mężczyzna palący fajkę siedział obok niego przy stoliku. Miał mały plecak, który położył przed sobą na blacie. Był artystą malarzem, który przybył tu wykonać szkice malowniczego wybrzeża; wysoki, w zamszowej kurtce, z bujnymi włosami o dwóch kolorach, z długą blond brodą, ale ciemno-brązowymi oczami. Ten kontrast, Paynter nie umiałby wytłumaczyć dlaczego, przypominał mu Rosjanina. Nieznajomy, razem ze swoim podróżnym plecakiem, odwiedził wiele zakątków na wybrzeżu, pozwolono mu nawet rozstawić swój stelaż w tym samym ogrodzie, gdzie nieboszczyk Dziedzic organizował swoje spotkania *al fresco*. Jednak Paynter nigdy nie miał okazji, żeby zapoznać się z produkcjami artysty, ani nie potrafił nakłonić go na rozmowę na temat jego pracy. Wszytko to wyglądało nieco podejrzanie. Sam Cyprian był zawsze gotowy do rozmów o wszelkiej sztuce i mówił o sztuce z prawdziwym znawstwem, nawet jeśli z małym oddźwiękiem. Podawał osobiste powody, dla których przedkładał kubistów nad Picassa, ale jego nowy przyjaciel zdawał się mieć mało zainteresowania dla obydwu. Przekonywał, że nowi prymitywiści

raczej rozluźniali swoje artystyczne granice, podczas gdy prawdziwi prymitywiści, wręcz przeciwnie, zacieśniali je; ale obcy pozostawał niewzruszony, nie reagował w żaden zauważalny sposób na wszelkie insynuacje. Gdy Paynter zapuścił się nawet w tak odległe terytoria jak post-impresjoniści, chcąc znaleźć jakiś wspólny grunt do konwersacji i nie znajdując go, zaczął przywoływać inne, mniej artystyczne, fakty wspominając, raczej ponuro, legendę o pawich drzewach, że tak tajemniczy przybysz jak on, mógłby do tej legendy wspaniale pasować, gdy wtem mężczyzna powiedział niespodziewanie:

- Możliwe, że powinienem pokazać panu szkic, który tam wykonałem.

Trzymał plecak przed sobą na stole i uśmiechał się raczej ponuro, gdy zaczął go otwierać. Paynter spojrzał na niego z uprzejmym zainteresowaniem, ale był zupełnie zaskoczony, gdy nieznajomy rozpakował i położył na stole coś, co nie przypominało żadnego artystycznego tworu, nawet według kubistycznych standardów, był to, (po pierwsze) arkusz papieru zapisany notatkami czarnym i czerwonym atramentem, (po drugie), ku kompletnemu zaskoczeniu Amerykanina, stara siekiera drwala z owiniętym trzonkiem, ta sama, którą wydobył pewien czas temu z leśnej studni.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli pana zaskoczyłem, - powiedział rosyjski artysta z oczywistym londyńskim akcentem. - Ale może od razu zdradzę, że pracuję w Policji.

- Nie wygląda pan na policjanta, - zauważył Paynter.

- Nie powinienem, - odparł mężczyzna. - Pan Ashe sprowadził mnie tutaj ze Scotland Yardu, aby przeprowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa; ale powiedział mi, że wszelkie rezultaty, jeśli uznam to za stosowne, mogę przekazywać panu. Czy jest pan gotowy na współpracę? Gdy rozpocząłem śledztwo, - wyjaśniał detektyw, - zrobiłem to na prośbę mecenasa Ashe, głównie według wskazówek pana Ashe. Mecenas Ashe jest wyśmienitym prawnikiem kryminalnym; znakomity umysł, proszę pana, pełen faktów jak kalendarz Newgate. Przyjąłem, jako roboczą wersję, jego opinię, że tylko pięć osób, obecnych przy stole w ogrodzie Dziedzica, wiedziało o jego przedsięwzięciu. Ale panowie, jeśli mogę to tak ująć, zapomnieli o pewnych dodatkowych faktach i osobach, którym musimy się przyjrzeć w pierwszej kolejności. Gdy analizowałem wysiłki, jakie podjął pan Ashe dotychczas, a które pan dobrze zna, natknąłem się na fragmenty, które wzbudziły we mnie pewne podejrzenia, a które nie były dyskutowane wcześniej. Cała rzecz zaczęła przybierać dość realne kształty, które mogą doprowadzić nas do końca, a które powinny być rozważone na początku. Teraz, pozwoli mi pan zacząć, nie jest prawdą, że było tylko pięć osób przy stole, faktycznie było sześć.

Paynter przywołał w pamięci okoliczności fatalnego wieczoru, ale nie potrafił sobie nikogo więcej przypomnieć poza ewentualnym duchem. Ale rozsądne wytłumaczenie detektywa szybko przywróciło go do rzeczywistości i oświeciło całkowicie.

- Było sześć osób, w tym pięciu gentlemanów, jeśli tak będzie lepiej, - kontynuował. - Miles, butler, widział Dziedzica znikającego w lesie tak samo wyraźnie, jak pan widział; łatwo udało mi się ustalić, że Miles to osoba warta większej uwagi.

Nagła myśl zaświtała w głowie Payntera.

- A więc to był on, butler! - Wykrztusił. - Czy cały mistycyzm ma zniknąć, gdy policjant założy kajdanki na ręce butlera? Cóż, zgodzę się z panem, jeśli pan powie, że ten butler nie jest typowym butlerem, wystarczy tylko spojrzeć;

możliwe, że pominięcie butlera było błędem wyobraźni. Jak wiele błędów wyobraźni, mógł być spowodowany klasowym snobizmem.

- Nie możemy się spieszyć z wnioskami, - powiedział oficer spokojnym głosem. - Ja tylko powiedziałem, że śledztwo skoncentrowało się na Milesie; że był on wart uwagi. Stary Dziedzic ufał mu bardziej niż ktokolwiek mógłby zakładać; a gdy przesłuchałem go, wyznał mi wiele ważnych rzeczy. Mam to wszystko spisane tutaj na tych kartkach; ale na razie chciałbym panu zdradzić tylko jeden szczegół. Pewnej nocy butler był blisko drzwi do jadalni, gdy usłyszał odgłosy zajadłej kłótni. Dziedzic potrafił być porywczy czasami; ale to, co jest ciekawe w tej scenie to fakt, że jego rozmówca był jeszcze bardziej zajadły niż on. Miles słyszał, jak tamten nazwał Dziedzica publicznym problemem, i wyraził opinie, że jego śmierć ucieszyłaby każdego. Zdradzę panu, że tym rozmówcą był doktor Burton Brown, miejscowy lekarz.

- Kolejną osobą, którą przesłuchałem, był Martin, drwal. Przynajmniej w jednym punkcie, jego świadectwo pokrywa się ze świadectwem innych osób, tu sprawa jest jasna. Najpierw powiedział, że doktor zabronił mu zabrać siekierę z lasu co potwierdzili również państwo Treherne. Ale powiedział też, że doktor obiecał, że sam przyniesie mu tę siekierę później; to znajduje potwierdzenie w zeznaniu ogrodnika, który widział doktora, jakiś czas później, jak przyszedł aby zabrać siekierę osobiście. Martin twierdzi, że doktor odmówił oddania mu siekiery kilka razy, podając różne preteksty. A w końcu, panie Paynter, posłuchajmy świadectwa samej siekiery.

Położył narzędzie drwala na stole przed zasłuchanym Paynterem i zaczął rozrywać i odwijać dziwny materiał, pokrywający jej trzonek.

- Jak pan widzi, to jest raczej niecodzienny bandaż, - powiedział. - Ale najdziwniejsze jest to, że to rzeczywiście jest bandaż. Używają tego powszechnie w szpitalach, tną w paski, takie, jak ten. Większość lekarzy ma takie bandaże w swoich gabinetach; a tu mam zeznanie rybaka Jake'a, u którego doktor mieszkał przez pewien czas, który wyznał, że doktor miał również ten praktyczny zwyczaj przechowywania kilku bandaży w domu. Na koniec, - dodał rozprostowując narożnik bandaża na blacie stołu, - czy nie wydaje się panu dziwne, że nosi inicjały T.B.B.?

Amerykanin przyjrzał się inicjałom, zapisanymi niezgrabnie atramentem, litery były blade, ledwo widział to, na co patrzył, ale to wystarczyło by jego pamięć przywołała ciemną sylwetkę w czarnych rękawiczkach, sylwetkę doktora stojącego przy wejściu do lasu, na tle krwisto-czerwonego zachodu słońca, sylwetkę, która ciągle nawiedzała jego myśli, choć nie wiedział, dlaczego.

- Oczywiście, rozumiem, co ma pan na myśli, - powiedział, - to bardzo bolesna rzecz dla mnie, bo znam i szanuję tego człowieka. Ale pewnie pan powie, że to jeszcze daleko od wyjaśnienia każdego szczegółu. Jeśli on jest mordercą, czy jest też magikiem? Dlaczego woda w studni zniknęła w ciągu nocy, zostawiając kości ofiary suche jak piasek? Nie jest to operacja, którą zazwyczaj wykonuje się w szpitalach, nieprawdaż?

- Jeśli chodzi o wodę, potrafimy to wyjaśnić, - powiedział detektyw. - Na początku się nie domyśliłem, jako że nie jetem tutejszy; ale krótka rozmowa z Jakiem i drugim rybakiem o dawnych czasach przemytników szybko rozjaśniła mi w głowie. Ale przyznaję, że suche szczątki pozostają dla nas zagadką. Niemniej…

Przerwał nagle widząc czyjś cień na blacie stołu. Pod malowanym szyldem stał Ashe, w ponurym ciemnym garniturze, z wyrazem twarzy oskarżyciela, o

którym wcześniej wspominał poeta, a teraz wzmocnionym jasnym światłem słońca. Za nim stało dwóch mężczyzn, pospolicie ubranych, niezwykle opanowanych; Paynter natychmiast zorientował się kim oni są.

- Musimy działać szybko, - powiedział prawnik. - Doktor Burton Brown ma zamiar opuścić wioskę.

Wysoki detektyw zerwał się na nogi, a Paynter podążył jego przykładem instynktownie.

- Udał się do państwa Treherne, prawdopodobnie aby pożegnać się, - ciągnął Ashe pośpiesznie. - Przykro mi, ale będziemy musieli zatrzymać go tam, w ogrodzie, jeśli to będzie konieczne. Myślę, że udało mi się pozbyć pani domu. Ale pan, - zwrócił się do fałszywego pejzażysty, - musi pan tam iść natychmiast, rozstawić swoje sztalugi przy stole i pozostać w gotowości. Pójdziemy cicho za panem i schowamy się za drzewami. Musimy zachować ostrożność, bo jest oczywiste, że coś zwęszył, inaczej nie próbowałby uciekać.

- Nie podoba mi się to, - powiedział Paynter, gdy kroczyli w kierunku parku i potem ogrodu, detektyw na czele.

- Myśli pan, że mi się podoba? - Zapytał Ashe, a jego silne, przygniatające oblicze wyglądało na tak postarzałe, że rude włosy wydawały się nienaturalne, jakby czerwona peruka. - Znam go dłużej niż pan, ale podejrzewałem również od pewnego czasu.

Gdy dotarli do szczytu ogrodowego wzniesienia, detektyw już rozstawił swoje sztalugi, chociaż silna bryza wiejąca w stronę morza grzechotała i kołysała tym rusztowaniem targając jego jasną (i sztuczną) brodę. Niewielkie chmury skręcały się jak pióra ptaka, przesuwając w kierunku morza ponad malowniczym krajobrazem, tym samym krajobrazem, którym Amerykanin zachwycał się innego, bardziej szczęśliwego poranka; ale było oczywiste, że fałszywy pejzażysta przykładał niewielką uwagę do otoczenia. Można było dostrzec Treherne w drzwiach domu, który był teraz jego domem; wiedział o pułapce, ale nie chciał się zbliżać, nienawidząc takich sytuacji bardziej niż pozostali. A reszta pozostawała w ukryciu za drzewami. Pomiędzy tymi liniami zamaskowanych oddziałów, można było zobaczyć czarną sylwetkę doktora, podążającego przez ogrodowy trawnik, prosto jak pocisk, jak wtedy, gdy niósł smutne nowiny dla drwala. Dziś uśmiechał się pod ciemnym wąsem, przyciętym krótko ponad górną wargą, dodając jego twarzy bladego odcienia. Zdawało się, że zatrzymał się na chwilę zaskoczony widokiem malarza, któremu przyjrzał się spoza swoich okularów.

Malarz odwrócił się od swojej pracy w naturalny sposób, a potem błyskawicznie pochwycił doktora za kołnierz płaszcza.

- Aresztuję cię! - Krzyknął; ale doktor Brown wyrwał mu się z zaskakującą energią, skoczył w jego kierunku, zerwał jego sztuczną brodę, wyrzucił ją w powietrze, gdzie poszybowała jak mała strzępiasta chmura; potem, jednym dzikim kopnięciem przewrócił sztalugi do góry nogami, pognał jak zając w kierunku wybrzeża. Nawet w tej oszałamiającej chwili, Paynter potrafił znaleźć coś nowatorskiego, niemal rozczarowującego, ale nie miał czasu na dalsze rozważania, bo razem z resztą grupy musiał ruszyć w pościg za uciekającym, nawet Treherne biegł tuż za nimi z odzyskaną odwagą i energią. Uciekinier zderzył się z jednym z policjantów, który próbował zabiec mu drogę, przewrócony potoczył się po zboczu; w rzeczy samej, zbieg wydawał się jakby dostał skrzydeł i siły dzikiej bestii. Wbiegł na alejkę otoczoną grządkami kwiatów - tę samą, z której jakiś czas temu, Barbara po raz pierwszy zobaczyła swojego późniejszego małżonka -

i wyrwał w dół ze zdumiewającą szybkością, po stromej ścieżce, którą wspinał się tenże trubadur. Idąc w zawody z porywistym wiatrem, cały oddział rzucił się przez ogród w dół za uciekającym, aż dotarli do brzegu morza, w pobliżu chaty rybaka, podziurawionego grotami i szczelinami, które Amerykanin tak podziwiał w dniu swego przyjazdu. Uciekinier jednak nie kierował się do domu, w którym długo zamieszkiwał, ale raczej w stronę przystani i mola, tak jakby zamierzał wskoczyć na łódź albo popłynąć o własnych siłach. Dopiero gdy dotarł do końca kamiennego pomostu, odwrócił się pokazując swoją bladą twarz z okularami; wciąż widzieli uśmiech na twarzy.

- Nawet mi się to podoba, - powiedział Treherne, - on jest szalony.

Niemniej, naturalny głos, jakim doktor przemówił zaskoczył ich wszystkich jak wrzask.

- Panowie, - powiedział, - nie będę próbował utrudniać waszych przykrych obowiązków pytając, czego chcecie; ale muszę poprosić o pewną przysługę, która nie przeszkodzi wam ani trochę w wypełnieniu waszych obowiązków. Zgadzam się, że dotarłem tu z pewnym pośpiechem; ale prawda jest taka, że nie chciałem się spóźnić na powitanie pewnego gościa. - Sprawiał wrażenie pozbawionego wszelkich emocji, gdy zerkał na swój zegarek. - Wygląda na to, że wciąż mam jakieś piętnaście minut. Czy zechcecie poczekać ze mną ten kwadrans? Potem będę całkowicie do waszej dyspozycji.

Stali zaskoczeni i milczący, po chwili Paynter przemówił:

- Jeśli chodzi o mnie, to mam uczucie, że nie będzie nic złego jeśli przychylimy się do prośby doktora.

- Ashe, - powiedział doktor z nową nutą powagi w głosie, - z uwagi na długą znajomość, mógłbyś mi pozwolić na ten ostatni mały luksus. Nie zrobi to przecież większej różnicy; nie mam broni ani szans na ucieczkę; możesz przeszukać mnie jeśli chcesz. Wiem, że myślisz, że postępujesz słusznie, wiem też, że cokolwiek zrobisz będzie to zrobione prawomocnie. Cóż, masz na dodatek przyjaciół do pomocy; spójrz tylko na tego z brodą, albo z tym, co z niej pozostało. Dlaczego ja nie mógłbym mieć kogoś do pomocy? Ktoś będzie tutaj za kilka minut, ktoś w kim pokładam pewne zaufanie; wybitny autorytet w sprawie, którą próbujecie rozwiązać. Dlaczego nie poczekać, choćby z czystej ciekawości, poczekać i wysłuchać jego wersji?

- Brzmi jak nonsens, - powiedział Ashe, - ale jeśli ma to rzucić nowe światło, choćby i światło Księżyca[2], to ja nie mam nic przeciwko temu, żeby poczekać ten kwadrans. Któż jest tym pańskim przyjacielem, jestem ciekawy, czy nie jakiś detektyw-amator?

- Dziękuję, - powiedział doktor z pewną dozą godności. - Myślę, że potraktuje go pan poważnie, jak go pan zobaczy. A na razie, - dodał znacznie bardziej zrelaksowanym tonem, jakby przechodząc do mniej ważnych spraw, - porozmawiajmy o morderstwie. Ta sprawa, - mówił bez emocji, - powinna być kwalifikowana jako raczej niezwykła. Jest tu bardzo jasna i decydująca kombinacja dowodów przeciwko Thomasowi Burton Brown, czyli przeciwko mnie. Ale jest jedna szczególna rzecz w tych dowodach, którą prawdopodobnie zauważyliście. Wszystkie te dowody pochodzą z jednego źródła, raczej niespodziewanego. Kolejno, drwal utrzymuje, że ja miałem jego siekierę, ale dlaczego tak myśli? Mówi, że ja mu powiedziałem, że mam jego siekierę; że zapewniałem

[2] Gra słów: nonsens w języku angielskim można wyrazić za pomocą idiomatycznego zwrotu *moonshine* - dosłownie: światło Księżyca. - *Przyp. tł.*

go co do tego wiele razy. Dalej, pan Paynter tu obecny, wydobył siekierę ze studni; ale w jaki sposób? Jestem pewny, że pan Paynter poświadczy, że to ja przyniosłem mu narzędzia aby mógł ją wydobyć, zadanie, którego zapewne nie byłby w stanie wykonać w inny sposób. Ciekawe, nieprawdaż? Pójdźmy dalej, zostało potwierdzone, że trzonek siekiery owinięty był w bandaż, który jakoby był w moim posiadaniu, zgodnie z zeznaniem rybaka. Ale kto pokazał bandaż rybakowi? Ja pokazałem. Kto zaznaczył bandaż moimi inicjałami? Ja zaznaczyłem. Kto owinął tym bandażem trzonek siekiery? Ja owinąłem. Raczej dziwna rzecz; czy ktoś zwrócił na to uwagę?

Słowa, które wypowiadał, początkowo słuchane z obojętnością, zaczynały coraz bardziej działać na ich wyobraźnię.

- A teraz kwestia samej studni, - kontynuował doktor, z tym samym niezwykłym spokojem. - Przypuszczam, że przynajmniej niektórzy z was już poznali jej sekret. A sekret polega na tym, że to tak naprawdę nie jest studnia. Otwór został celowo ukształtowany w taki sposób, żeby przypominał cembrowinę, ale tak naprawdę to rodzaj tunelu, prowadzący do jednej z jaskiń, tam na wybrzeżu; groty, która ciągnie się w głąb lądu, pod lasem i ma połączenia z innymi jaskiniami na przestrzeni całych mil. To rodzaj labiryntu, który używany był przez przemytników i im podobnych indywiduów od setek lat. Bez wątpienia, to może pomóc wyjaśnić wszystkie te zniknięcia, o których słuchaliśmy. Ale wracając do studni, która nie jest studnią, jeśli ktoś jeszcze o tym nie wie. Gdy poziom morza podnosi się szczególnie wysoko w niektórych porach roku, woda zalewa dolną jaskinię, a czasami nawet wypełnia ten otwór tak, że rzeczywiście wygląda on jak naturalna studnia. Odgłos, który pan Paynter słyszał, był naturalnym odgłosem wiru wywołanego przez morskie fale, wszystko więc tłumaczy się tak prostym i oczywistym faktem jak przypływ.

Amerykanin czuł się zaskoczony tym prostym wyjaśnieniem.

- Przypływ! - Powiedział. - Nawet o tym nie pomyślałem! Pewnie dlatego, że długo mieszkałem na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

- Następna część wydaje się oczywista, - kontynuował doktor, - zwłaszcza dla tak logicznego umysłu, jak umysł mecenasa Ashe. Jeśli ktoś zapyta, dlaczego woda nie zabrała szczątków Dziedzica, które pozostawały tam od jego zniknięcia, to jest na to tylko jedna odpowiedź. Szczątki nie pozostawały tam przez cały ten czas. Kości zostały umyślnie przyniesione w to miejsce, do groty pod lasem i zostały tam przyniesione PO TYM jak pan Paynter przeprowadził swoje pierwsze rozpoznanie. Zostały tam przyniesione, krótko mówiąc, gdy poziom morza opadł w czasie odpływu i dno jaskini było suche. Dlatego szczątki również pozostały suche; bardziej suche niż sama jaskinia. Kto je tam przyniósł, zapytacie?

Cały czas spoglądał wytężonym wzrokiem, przez szkła swoich okularów, ponad głowami słuchających i w pewnym momencie uśmiechnął się i wykrzyknął:

- Ach, - zeskoczył ze skały, na której stał, - oto wreszcie mój gość!

Ashe obrócił głowę za siebie i przez kilka sekund pozostał w tej pozycji nieruchomo, jak gdyby wmurowany w ziemię. Na klifie, dokładnie za jego plecami, znajdowała się jedna ze szczelin, którymi usiane było całe wybrzeże. Z tej szczeliny, wyłonił się na pełne słońce, jak gdyby przez wąskie drzwi, Dziedzic Vane z szerokim uśmiechem na twarzy.

Wiatr powiewał od strony szczytów wysokiego klifu, w stronę morza, ponad ich głowami, a oni mieli wrażenie, że wszystko wywiewa z ich głów i tracą zupełnie kontrolę nad rzeczywistością. Paynter czuł się tak jakby wiatr kompletnie zwiał głowę z jego karku. Ale żaden z tych podmuchów nie zmącił spokoju

w siwej głowie Dziedzica, który był nie tylko zdrów i cały, ale w doskonałej, a może nawet lepszej niż przed zniknięciem, kondycji. Szedł pewny siebie, niemal zawadiacko, zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołał. Tylko jego twarz była spalona słońcem, jak twarz marynarza, a jego jasny garnitur miał zdecydowanie cudzoziemski krój.

- Cóż, panowie, - powiedział uprzejmie, - dotarliśmy do kresu legendy o pawich drzewach! Przykro mi, że muszę rozwiać wszystkie sentymentalne aspekty pańskiej opowieści, panie Paynter, ale nie da się wiecznie opowiadać tego samego dowcipu. Przykro mi, panie Treherne, że muszę przerwać pański najlepszy poemat, ale doszedłem do wniosku, że cała ta pańska poezja idzie troszeczkę za daleko. W tym celu, razem z doktorem Brownem, ukartowaliśmy pewien plan, małą niespodziankę dla was. I muszę powiedzieć, bez ukrywanej dumy, że powiodło nam się znakomicie.

- Cóż ma to wszystko znaczyć? - Zapytał Ashe w końcu.

Dziedzic zaśmiał się swobodnie, może nieco przepraszająco.

- Myślę, że to dlatego, że tak lubię żarty, - odparł, - i myślę, że to mój największy, ostatni żart. Ale proszę zauważyć, że żart ma także praktyczną stronę. Pochlebiałbym sobie za bardzo, gdybym uważał, że przyczynię się w ten sposób do ogólnego postępu i wzmocnienia zdrowego rozsądku, a zwłaszcza niszczenia szkodliwych zabobonów. Ale muszę wyznać, że najlepsza część dowcipu, jest autorstwa doktora, a nie mojego. Ja rzeczywiście planowałem po prostu spędzić noc w lesie i powrócić świeży jak farba na płocie, aby pokazać wam jak naiwni byliście. Ale doktor Brown podążył za mną do lasu, odbyliśmy burzliwą rozmowę, która zmieniła moje plany. Doktor powiedział mi, że takie zniknięcie na kilka godzin nikogo nie wyleczy z niczego, nie wyrwie nonsensu z niczyjej głowy; większość ludzi nigdy nawet nie dowie się o tym, a ci co będą wiedzieć, powiedzą, że jedna noc niczego nie dowodzi. Słuszna uwaga. Zaproponował mi znacznie lepszy plan, aby odegrać cud, tak jakby rzeczywiście się zdarzył, a potem zdemaskować absurdalność naiwnych wierzeń, ujawniając faktyczny bieg zdarzeń. Nie potrafię może wytłumaczyć tego tak dobrze, jak doktor, ale mam nadzieję, że panowie zrozumieli główną myśl.

Doktor skinął głową, wpatrzony w piasek pod nogami; Dziedzic powrócił do swoich wywodów, które kontynuował z tym samym zapałem.

- Uzgodniliśmy, że wskoczę do jaskini przez tę sztuczną studnię i poszukam drogi, poprzez labirynt pieczar, gdzie często bawiłem się jako młody chłopak i dostanę się do kolejowej stacji, kilka mil stąd, a potem wsiądę do pociągu do Londynu. Było oczywiście konieczne, żebym faktycznie zniknął ludziom z oczu, zniknął tak, żeby nikt mnie nie szukał; więc przedostałem się do portu i opuściłem Londyn, Anglię. Wybrałem się na wspaniałą i sentymentalną dla mnie podróż na Cypr, miesiąc albo dwa nad Śródziemnym Morzem. Niewiele więcej potrzeba dodawać o tej eskapadzie, oprócz tego, że uzgodniliśmy mój powrót na konkretny dzień; oto jestem. Ale zdążyłem już usłyszeć wystarczająco, żeby uznać, że nasz dowcip wypalił znakomicie. Każdy mieszkaniec Kornwalii i prawdopodobnie większość ludzi w Południowej Anglii, słyszało o Zaginionym Dziedzicu; tysiące wiotkich głów szukało, nad kryształowymi kulami i w kartach tarota, magicznego wyjaśnienia, dowodu nadprzyrodzonych zjawisk. Życzyłbym sobie, żeby Powracający Dziedzic skutecznie zdruzgotał ich postawione taroty i kryształowe kule, tak że tego typu głupoty nigdy więcej nie powrócą w dwudziestym wieku. Wykorzystam pawie drzewa, żeby ośmieszyć zabobonną Europę i Amerykę.

- W takim razie, - powiedział prawnik, który jako pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia, - muszę powiedzieć, że wszyscy jesteśmy zadowoleni z pańskiego powrotu, panie Dziedzicu; muszę przyznać, że całkowicie rozumiem pańskie motywacje i ich wyjaśnienie, bardzo osobiste motywacje. Ale obawiam się, że nie wszystko jeszcze do końca zrozumiałem. Przyjmując jako fakt, że zniknął pan na własne życzenie, dlaczego uważał pan za konieczne podkładać w studni fałszywe szczątki, stawiając doktora w sytuacji graniczącej z wyrokiem śmierci? I kto właściwie je tam przyniósł? Mój wniosek może wydawać się zupełnie pozbawiony sensu, ale jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, to doktor Brown musiał tam zgromadzić kości własnoręcznie.

Doktor po raz pierwszy podniósł głowę.

- Tak; to ja przyniosłem tam kości, - powiedział. - Prawdopodobnie jestem pierwszym synem Adama, który wyprodukował wszystkie dowody na własne oskarżenie.

Tym razem Dziedzic wydawał się zaskoczony oświadczeniem doktora, rzucał wzrokiem z jednego na drugiego.

- Kości! Oskarżenie o morderstwo! - Wyrzucił z siebie. - O czym wy tu do diabła mówicie? Czyje kości?

- Pańskie kości, w pewnym sensie, - spokojnie wyjaśnił doktor. - Musiałem wszystkich przekonać, że rzeczywiście jesteś martwy, a nie zniknąłeś za sprawą magii.

Dziedzic zdawał się bardziej zdezorientowany niż reszta, zdezorientowany beznadziejnie, bardziej niż reszta jego znajomych była zaskoczona jego powrotem z zaświatów.

- Dlaczego? - Zapytał. - Myślałem, że cały sens był w tym, żeby to wyglądało jak magiczne zniknięcie. Dlaczego musiałem umrzeć naprawdę?

Doktor Brown trzymał głowę uniesioną; teraz powoli uniósł również rękę i wskazał, wyprostowanym ramieniem, na fragment klifu, tuż ponad wejściem do jednej z jaskiń. Było to dokładnie to samo miejsce, w którym po raz pierwszy zszedł na ląd Paynter, tamtego wiosennego poranka, gdy po raz pierwszy oglądał z zachwytem pawie drzewa. Ale tym razem, drzew tam nie było.

Nie było to być może dla nich kompletnym zaskoczeniem; wycinka lasu była jedną ze zmian w posiadłości, jakie zarządził Treherne. Ale chociaż wszyscy o tym wiedzieli, zupełnie o tym zapomnieli; a znaczenie tego faktu ujawniło się na nowo ze zdwojoną siłą, jak znak z nieba.

- To jest ten powód, - powiedział doktor. - Starałem się o to przez ostatnie czternaście lat.

Nie patrzyli już na cypel, gdzie dumne drzewa stanowiły dawniej główny element krajobrazu, będąc tak dobrze znajomym widokiem; mieli oni bowiem inny obiekt do obserwacji. W tym momencie wszyscy zgodziliby się, że Dziedzic Vane musiałby zmienić swoje zdanie o lunatykach, gdyby mógł obserwować samego siebie. Niespodziewana zmiana spadła na niego jak grom z jasnego nieba; nie mógł w żaden sposób przewidzieć, że opowieść o Zaginionym Dziedzicu, stanie się wstępem opowieści o ściętych drzewach. Nie był w stanie opanować się przez następne pół godziny. Zaklinał się i przeklinał, aż wreszcie odzyskał równowagę na tyle, że zaczął domagać się wyjaśnień zadając mniej lub bardziej nieskładne pytania. Musiał być niemal siłą uspokojony, bez względu na szacunek jakim go darzyli, zanim zapanowała cisza, która umożliwiła doktorowi przekazanie jego wersji wydarzeń. Była to raczej wyjątkowa historia, coś, o czym wiedział tylko

on sam i chociaż jego narracja była wielokrotnie przerywana, można ją ująć w jedną powiązaną logicznie całość i powtórzyć jego własnymi słowami.

- Po pierwsze, chciałbym, żeby było jasne, że ja w nic nie wierzę. Mój brak wiary jest kompletny i można mnie śmiało nazwać ateistą. Nigdy nie zaistniały w mojej głowie pojęcia Nieba i Piekła. Dla mnie najbardziej prawdopodobne jest to, że my wszyscy jesteśmy jak dżdżownice w błocie; ale posiadam dużo współczucia dla tych dżdżownic, które znalazły się pod kołem. I jestem rodzajem glisty, która nie stroni od pomocy innym, jeśli mogę pomóc. Nie dbam o wiarę, a jeszcze bardziej nie dbam o poezję. Różnię się od obecnego tu pana Ashe, który jest specjalistą w kryminalistyce, ale posiada ogładę również w innych dziedzinach życia i kultury. Ja nie wiem nic o kulturze, może z wyjątkiem kultur bakterii. Czasami mam wrażenie, że pan Ashe jest tak samo literackim krytykiem jak pan Paynter; z tą różnicą, że on szuka swoich bohaterów i złoczyńców w otaczającym nas realnym świecie. Ale jestem bardzo praktycznym człowiekiem; wspinałem się do swojej konkluzji po prostych, naukowych faktach. W tym regionie znalazłem ciekawy fakt nietypowej przypadłości, śmiertelnej gorączki niewystępującej nigdzie indziej, właściwy tylko dla tego fragmentu wybrzeża; objawia się ona szczególnym rodzajem delirium połączonym z załamaniem nerwowym. Studiowałem tę chorobę bardzo dokładnie, tak jak studiuje się nietypowe przypadki w szpitalach, nawiązałem korespondencję z innymi specjalistami, porównywaliśmy nasze wyniki badań. Nikt nie znał tej choroby ani jej przyczyny, nauka milczała, ale miejscowi chłopi znali przyczynę, twierdząc, że to egzotyczne pawie drzewa wydzielają jakiś rodzaj trujących oparów.

- Cóż, pawie drzewa okazały się rzeczywiście trujące. Pawie drzewa rzeczywiście powodowały gorączkę. Potwierdziłem ten fakt w pełny, gruntowny sposób wymagany przez naukę, porównałem ogromną ilość przypadków, w każdym szczególe. Na końcu tych dociekań dokonałem odkrycia, tak jak Harvey dokonał odkrycia krążenia krwi. Każdy, kto znalazł się w pobliżu drzew, wykazywał ostrzejsze symptomy; ci, którzy nie zapadli na chorobę, są wyjątkami potwierdzającymi regułę, nadzwyczaj zdrowi i energiczni ludzie jak Dziedzic Vane albo jego córka. Innymi słowy, ciemni chłopi mieli rację. Ale jeśli ogłoszę to w taki sposób, podniosą się krzyki: “Czy w takim razie wierzy pan, że jest w tym coś nadprzyrodzonego?” Nawet wy zapytacie o to samo; to jest to, co najbardziej spędza mi sen z powiek. To prawie niewiarygodne, że setki ludzi straciło życie a choroba nie została rozpoznana, tylko z powodu tej głupiej wiary w nadprzyrodzoność, te zabobony, głupi lęk przed lękiem. Tylko jeśli będziecie widzieć światełko faktów prześwitujące poprzez gąszcz, tylko wtedy będziecie skłonni zagłębić się w ten gąszcz. Tylko jeśli obiecam wam, że będzie naturalne wytłumaczenie, które nie narazi na szwank waszej reputacji zdrowo myślących ludzi, tylko wtedy będziecie skłonni poznać całą historię. Ale co, jeśli nie ma naturalnego wytłumaczenia? Albo jest, ale my nigdy go nie znajdziemy? Przypuśćmy, że ja sam nie mam bladego pojęcia, czy takie wytłumaczenie jest, czy nie! Ale jakie to może mieć znaczenie dla mnie albo dla was, jeśli mamy zmierzyć się z faktami, tak jak ja je znam? Moja własna intuicja podpowiada mi, że wyjaśnienie jest; jeśli byłbym w stanie poprowadzić moje badania wystarczająco daleko, może znalazłbym odpowiedź, może okazałoby się, że chorobę powoduje jakaś niecodzienna forma wirusa, podobnego do tego, który wywołuje katar sienny, albo tego, który wywołuje podrażnienie podobne do alergii na pył kwiatowy, choroba znalazłaby wyjaśnienie tymi prostymi faktami. To, co znalazłem, to są fakty. A głównym faktem jest to, że te drzewa tam na szczycie, raziły śmiertelne

ciosy na prawo i lewo, z siłą i precyzją gigantów, stojących na wzniesieniu i powalających całe tłumy ludzi maczugą. Jak powiedziałem, wszystko, czego potrzebuję to przedstawić moje dowody i rozwiać wszelkie wątpliwości. Być może mógłbym być bardziej przekonujący dla świata nauki gdyby jeszcze więcej żałobnych procesji przeszło na cmentarz przez wioskę. Ale ja nie potrzebuję przekonywać świata nauki, tylko Dziedzica tej Posiadłości. Pan Dziedzic wybaczy mi jeśli powiem, że to wcale niełatwe zadanie, próbowałem wcześniej; straciłem cierpliwość, powiedziałem rzeczy, których nie potrafię teraz obronić; w końcu pozostawiłem uprzedzenia Dziedzica mocniej jeszcze zakorzenione, jak drzewa. Stanąłem przed niespotykanym zbiegiem okoliczności, które były przeszkodą w osiągnięciu moich celów. Jedna rzecz szczególnie sprawiała, że moje naukowe dowody wyglądały jak nonsens. A była to ta popularna legenda.

- Panie Dziedzicu, gdyby była legenda o katarze siennym, nie uwierzyłby pan w katar sienny. Jeśli byłoby jakieś popularne podanie o alergii pyłków kwiatowych, powiedziałby pan, że pyłek kwiatowy to tylko zwykła bajka. Miałem przeciwko mnie coś, co było silniejsze niż nieprzychylność naukowców; musiałem oprzeć się powszechnej opinii. Moja prawda przeplatała się beznadziejnie z opowieścią, uczeni zakwalifikowali wszystko jako brednie, nie mieli innego wyjścia. Nigdy więcej nie próbowałem im niczego tłumaczyć; wręcz przeciwnie, poprosiłem o wybaczenie, udałem, że nawróciłem się na prawdziwą drogę, zdrowy rozsądek i tylko obserwowałem wydarzenia. Przez cały ten czas, plany czegoś większego, może trochę przewrotnego, krystalizowały się w mojej głowie. Wiedziałem, że pani Vane, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że poślubiła pana Treherne, pozostawała pod tak silną jego sugestią, że byłem najzupełniej przekonany, że pierwszy dzień ich związku, będzie ostatnim dniem dla jadowitych drzew. Ale nie mogła ona odziedziczyć, ani nawet podjąć samodzielnie takiej decyzji, dopóki Dziedzic żył. To było po prostu oczywiste, dla każdego zdrowo myślącego, że Dziedzic najpierw musi umrzeć. Ale będąc współczującym człowiekiem, nie mniej niż racjonalnym, chciałem, żeby ta śmierć była udawana i tylko tymczasowa.

- Bez wątpienia przypadek odegrał w moich planach znaczną rolę, ale ten przypadek sprzyjał mi. Przewidziałem, jaką rolę w całym zdarzeniu może odegrać siekiera, wtedy, gdy została wyrzucona w kierunku drzew; sam drwal musiałby być zaszokowany, gdyby wiedział jak bliski był dla mnie jego punkt widzenia, tylko że ja snułem bardziej wysublimowane plany względem wieży zarazy. Ale gdy Dziedzic spontanicznie wyruszył na pewną, zdaniem wszystkich mieszkańców okolicy, śmierć, po prostu skorzystałem z tej okazji. Podążyłem za nim i powiedziałem wszystko to, co wam właśnie przekazał. Obawiam się, że teraz nigdy mi nie wybaczy, ale nie powinien starać się przeszkodzić mi w wyrażeniu opinii, że osobiście podziwiam go ogromnie za to, że okazał się, według mieszkańców, takim szaleńcem, a co dla mnie jest po prostu poszukiwaniem przygód. Trzeba naprawdę wybitnego człowieka w dawnym stylu, żeby zrobić żart w wielkim stylu. Zszedł z drzewa tak szybko, że nawet nie zabrał swojego panamy, który utkwił tam na gałęzi.

- Na początku, zorientowałem się, że się nieco przeliczyłem. Zakładałem, że jego zniknięcie będzie natychmiast uznane za równoznaczne z jego śmiercią, a przynajmniej wkrótce zaraz po zniknięciu; ale Ashe oświadczył, że niczego nie da się potwierdzić, dopóki nie będzie zwłok. Muszę przyznać, że lekko mnie to rozdrażniło, ale szybko zabrałem się do dzieła sprokurowania jakichś szczątków. Nie jest taką wielką trudnością dla lekarza zdobyć szkielet; właściwie to nawet

miałem jeden, ale zapał pana Payntera wyprzedził nieco moje przygotowania, i zdążyłem tylko wrzucić kości do studni, gdzie je znalazł wspólnie z panem prawnikiem. Ale jego poczynania otworzyły przede mną nową szansę; gdy zobaczyłem, w którym miejscu jest dziura w kapeluszu, szybko zrobiłem otwór w czaszce dokładnie pasujący do tejże dziury. Trudniej było stworzyć pozostałe wskazówki dla śledczego. Może jeszcze nie do końca jesteście przekonani, że nie jestem potworem w ludzkiej formie. Nie mogłem stworzyć efektu morderstwa, bez zasugerowania przynajmniej osoby sprawcy, wtedy zrozumiałem, że jeśli śledztwo ma wieść do konkretnego człowieka, to tym człowiekiem powinienem być ja sam. Rozumiałem wasze zaskoczenie po odkryciu bandaża owiniętego na trzonku siekiery, bo nie znalazł on się tam w żadnym innym celu, jak tylko w celu rzucenia podejrzenia na tego, kto go tam umieścił. Śledztwo musiało doprowadzić do mnie, więc gdy wreszcie doszło do momentu aresztowania mnie, uznałem, że żart może posunąć się za daleko, zwłaszcza przykro mi za to w jaki sposób potraktowałem sztalugi i brodę pana detektywa. Jednak tylko ja mogłem podjąć całe ryzyko, bo tylko ja mogłem, na koniec, przywrócić z martwych pana Dziedzica i wykazać, że nie popełniono tu żadnej zbrodni. I to jest, mili panowie, cała historia o pawich drzewach; a ten goły pniak, wspomnienie zła, tam w górze, gdzie świszczą wichry, jak powinny nad dziką dżunglą, to zatracone wcześniej miejsce, otworzyłem na nowo dla świata, tak jak inni otworzyli katedry.

- Nie przypuszczam, żeby zostało coś jeszcze dodania, ale jest coś, co wzburza we mnie krew i coś, co chciałbym wam wytłumaczyć. Czy jesteście rzeczywiście gotowi odrzucić wszystkie te legendy chłopów, którym wcześniej byliście skłonni przyznać dużo racji? Ci ludzie są po prostu ludźmi, mają swoje znaczenie; nawet rysy ich twarzy nie są zupełnie pozbawione pewnego głębszego sensu. Gdy ogrodnik powiedział wam o drzewach, uznaliście go za głupca. Nie słuchaliście opinii drwala, uważając, że postradał zmysły, ale potraktowaliście z całą powagą jego zeznania w sprawie. Czy kiedyś zastanawialiście się, jak wyglądałby świat, gdyby ci prości ludzie byli tacy, za jakich ich uważacie? Nie, wy będziecie utrzymywać swoje racjonalne przekonania. A wasze racjonalne przekonanie mówi, że coś musi być fałszywe, bo tysiące jak oni mówią, że to prawda; bo wielu widziało tam coś, czego nie mogło tam być.

Spojrzał na Ashe w wyzywający sposób, ale chociaż wiatr targał jego rudawą grzywę, jego napoleońska twarz pozostała niewzruszona; posiadała nawet pewien nowy urok dodany przez malującą się na niej przychylność.

- Nie potrafię wyrazić jak szczęśliwy się czuję z faktu, że byłem w błędzie, - powiedział wreszcie, - poddając w wątpliwość pańskie teorie, panie doktorze. A jednak, oddając sprawiedliwość Dziedzicowi i sobie samemu, muszę zaoponować pańskiej jednoznacznej opinii. Szanuję tych prostych ludzi, szanuję pański szacunek dla nich; ale inna sprawa jeśli chodzi o ich legendy. Nie przypuszczam, żebym uczynił dla nich cokolwiek dobrego przez to tylko, że dałbym im wiarę. Prawda i fikcja, jak to często bywa, miesza się w nich nieustannie, w bardziej naukowych opiniach, prawda jest oddzielona od fikcji; wątpię czy wziął pan pod uwagę, co by było, gdyby te ich legendy były wzięte na serio w odpowiednim czasie. Połowa tych, którzy zmarli z powodu gorączki, ciągle by żyła; ale nieważne jak przyjaźni mogą się wydawać, obawiam się, że wciąż byliby gotowi spalić czarownicę na stosie. Nie, panie doktorze, przyznaję, że są często źle traktowani, przyznaję, że pod niektórymi względami mogą być nawet

lepsi od nas, ale nie zdobyłbym się na to, żeby zaakceptować ich zabobonów jako dowód w jakiejkolwiek sprawie.

Doktor skłonił się okazując szacunek, a potem, po raz ostatni tego dnia, zobaczyli ten złowieszczy uśmiech na jego twarzy.

- Nich będzie i tak, - powiedział. - ale niech pan nie zapomina, że omal mnie pan nie powiesił na podstawie ich zeznań.

Odwrócił się plecami do stojących, jakby mechanicznie skierował swoje kroki w stronę wioski, gdzie od tylu lat pełnił swoją medyczną służbę.